ARKONA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY KULTURZE I SZTUCE

NR 11 BYDGOSZCZ — WRZESIEŃ ROK 1946

W NUMERZE: TYMON NIESIOŁOWSKI: Ze wspomnień o Janie Kasprowiczu; JAN PIECHOCKI: Pomorze bez Pomorzan; ALFRED KOWALKOWSKI: Z „Wierszy Gotyckich"; BOGDAN ZAKRZEWSKI: Poezje; WALERIAN LACHNITT: Więzień Koszalina; BOLESŁAW SROCKI: Dokoła obłudnego sfinksa; ANDRZEJ BUKOWSKI: Ostatni z trójcy młodo-kaszubskiej; TEODOR MIKOŁAJCZAK, F. A. KIRŁO-NOWACZYK: Wiersze; MARIAN TURWID: Pierwsza fala; JÓZEF MODRZEJEWSKI: Piast — „Królem Morskim"; JERZY REMER: Przegląd plastyki poznańskiej; JERZY KOBZAKOWSKI: O teatr dla Bydgoszczy.

SPRAWY BLIŻSZE I DALSZE: O właściwą ocenę zjawisk artystycznych, „Richertczyzna", Odpowiedź strusiom.

K R O N I K I, PRZEGLĄDY, SPRAWOZDANIA: Bydgoszcz, Toruń, Szczecin, Sopot, Olsztyn, Włocławek. Przegląd prasy. Nowe książki.

Stanisław Helsztyński

PO SIEDMIU LATACH

W KRAJU KASPROWICZA I PRZYBYSZEWSKIEGO

Pierwszym moim odruchem po przyjeździe było postanowienie niczego nie badać, nie odgrzebywać przeszłości, poświęcić czas kuracji i zapomnieniu tego co przez tych lat siedem tutaj w regionie się działo. Postanowieniu temu sprzyjał dobry wygląd miasta, niezniszczonego przez działania wojenne, szereg nowo wzniesionych gmachów, naprzykład odkrytej pływalni w Solankach i kompleksu domów przy gazowni.

Mimo to ten nowy Inowrocław budził ciekawość i prowokował do porównań. Na jednej z przechadzek ul. Pakoską zauważyłem brak olbrzymiego gmachu, dawnej Szkoły Wydziałowej. Co się stało? Z budynku tego, mającego doskonały obstrzał na okolicę dworca, elektrowni i gazowni, zadali polscy obrońcy Inowrocławia, powstańcy i harcerze w roku 1939 wielkie straty szturmującym Niemcom. Gdy się Polacy wycofali, zdobywcy podziurawili działami gmach, w końcu zdecydowali to gniazdo oporu znieść z powierzchni ziemi. A ten w pobliżu pusty plac zieleniejącej murawy przy Solankowej? Miejsce byłej najpiękniejszej synagogi żydowskiej na ziemiach zachodnich. Niemcy podpalili ją zaraz po wejściu. Później wysadzali przez szereg tygodni dynamitem. Nie ma z niej ani śladu. Co więcej, zniszczyli pamiątki żydowskie nawet na starym cmentarzu kahału w pobliżu starostwa i wieży ciśnień. Element żydowski odegrał w dziejach Inowrocławia nie byle jaką rolę. Pisze o tym dr St. Simon w roku 1939 w książce „Żydzi inowrocławscy za księstwa Warszawskiego".

Jak pilnie i skrupulatnie usuwali Niemcy wszelkie ślady po Żydach, świadczy fakt, że historyczne wielowiekowe płyty nagrobkowe łącznie z wspaniałymi marmurami, piaskowcami, pochodzącymi z XIX wieku, zdobiącymi kirkut, wywieźli z cmentarza, rozbili, przepiłowali, zatarali napisy i ułożyli z nich mozaikę z płyt przed byłym gmachem seminarium nauczycielskiego, zamienionego przez nich na urząd rejencji. Poznań, Łódź, Inowrocław stanowiły trzy centra „w kraju nad Wartą". Imponujący gmach rejencji Inowrocławskiej, dziś liceum pedagogiczne, do obecnej chwili szczyci się amfiladą wjazdową z kamieni nagrobkowych z cmentarza żydowskiego. Gdy się przypatrzeć bliżej płytom, ujrzysz tu szczątek alfabetu hebrajskiego, tam litery niemieckie, na jednym nawet wyraz „Mutter".

Do gmachu sądowego i ponurego budynku więzienia stąd jeden krok. Z głębokim wzruszeniem oglądam to miejsce, które było w niedzielę w nocy z 22 na 23 października 1939 widownią znanej rzezi działaczy i przedstawicieli inteligencji miejscowej, co odbiło się głośnym echem w prasie alianckiej i w Izbie Gmin w przemówieniu Winstona Churchilla. Liczba 56 zmasakrowanych i sposób wykonania ekzekucji, bez sa-

S T A N I S Ł A W Ł U C Z A K

KOŚCIÓŁ N.M.PANNY W INOWROCŁAWIU DRZEWORYT

du, nie przez upoważniony do tego pluton, lecz własnowolnie przez pijanego starostę, Ottona Hirschfelda i miejscowego volksdeutscha, właściciela ziemskiego Jahnza, przy pomocy obsługi więziennej, wstrząsnęły wyobraźnią tysięcy ludzi.

Trudno bez dreszczu odtworzyć choćby szczątkowo tych parę, 4 do 5 godzin, kiedy po pijatyce wtargnęli do gmachu mordercy i każąc sprowadzać jeńców po kilku, rozpoczęli wśród przekleństw, wymyślań i bicia nieoczekiwany samosąd. Tekst wyroku przedstawia bliżej zabicie Gierkiego, hrabiego Ponińskiego, działacza robotniczego Kiełbasiewicza i aptekarza Reszki. Akt wymienia też nauczyciela Jana Chmiela z Gniewkowa, dodając, że został nocy tej zwolniony. W roku 1945, organizując szkolnictwo na Pomorzu Zachodnim, mianowałem Jana Chmiela, uratowanego w tej fatalnej nocy, inspektorem szkolnym w Pile. Pamiętam ten pełen napięcia wieczór, kiedy opowiadał dzieje swego ocalenia. Interweniował znajomy Niemiec, któremu niegdyś uratowany wyświadczył przysługę.

Najbardziej interesowały mnie wśród skazanych ostatnie chwile znajomych moich: Konstantego Laubitza, Władysława Juengsta, wiceprezydenta, i Apolinarego Jankowskiego, prezydenta miasta Inowrocławia, z którym na miesiąc przed wybuchem wojny rozprawialiśmy wiele na temat bieżących wypadków i niebezpieczeństwa niemieckiego, bawiąc w ogrodach solankowych długie godziny w towarzystwie Marii Kasprowiczowej. Podziwiałem prezydenta Jankowskiego. Przez dwa dziesiątki lat miałem możność obserwowania jego działalności. Inowrocław zawdzięcza mu bardzo wiele. Był to człowiek bez wątpienia bardzo dzielny. Wielkopolanin, samouk, samorządowiec, postawił Inowrocław na stopie europejskiej. Pożyteczne i reprezentacyjne gmachy zakładu zdrojowego, szerokie ulice, zbiory wykopaliskowe z Kujaw, archiwum, kolekcja artystyczna obrazów i rzeźb były owocem jego szerokich zainteresowań. Wielokrotnie, pamiętam, rozmawialiśmy o Niemcach. To chyba przesłoniło mu oczy we wrześniu 1939 kiedy wracał z wojennej „wycieczki" na dawne miejsce urzędowania. Polska prasa podziemna podkreśliła, że w ostatniej chwili, w gwałtownej sprzeczce z katem Hirschfeldem, zanim dostał strzał prosto w usta, wykrzyknął był Jankowski po niemiecku: Jeszcze Polska nie zginęła. Dr Józef Durzyński w relacji swej, zatytułowanej „De profundis" (Męczeńskim szlakiem Kujaw 1945), podkreśla zły stan psychiczny Jankowskiego na parę godzin przed katastrofą, wieczorem tragicznej niedzieli: „Był też dnia tego i on — jedyny zwiastun bliskiej burzy-potwornym, aż do torsji żółciowych, zdjęty lękiem w przeczuciu bliskiej śmierci, lękiem niczym realnym nieuzasadnionym i niewytłumaczonym, a niedostępnym dla narkotyku. O szarej godzinie rozstaliśmy się. Drugi świadek podpisany H. W., w tejże jednodniówce, precyzuje ostatnie chwile prezydenta Jankowskiego: „Na odpowiedź, że jest prezydentem miasta, wśród szyderstw i bicia, krzyków: Ty psie świński, chciałbyś być burmistrzem? — Ty jesteś już trupem" — zadano mu uderzenia kolbą karabinu, butami, poczem skatowanego spychano ze schodów, gdzie u wyjścia zamordowano go strzałem w głowę.

„Makabryczna noc" nie była jedyną w murach więzienia inowrocławskiego nocą mordu. Dnia 9 października rozstrzelano tu na dziedzińcu trzech, a 12 tegoż miesiąca 14 powstańców pow. gnieźnieńskiego. Dowodził nimi, ks. proboszcz Tadeusz Zabłocki z Gniezna, dziekan i powstaniec z 1918, brat kpt. Zabłockiego, znanego bohatera z wojny światowej, inwalidy bez nogi. Beznadziejna walka tych ludzi miała w wielu miejscowościach Poznańskiego znaleźć następców. W Inowrocławiu obsadzili powstańcy Szkołę Wydziałową i po odejściu wojska polskiego trzymali miasto. Wielu cofnęło się, wielu poległo. Charakterystycznie zachował się jeden z walczących, gdy go rozstrzeliwano poza murami więzienia. Na wezwanie, by kopał sobie grób, zaklął brzydko i krzyknął: Wy go, psy, wykopiecie!

Ciała zarówno powstańców jak i ofiar masakry z 22 października pochowano w rowach przeciwlotniczych kilkadziesiąt metrów za więzieniem. W zeszłym roku, dnia 22 października, zostały stamtąd podjęte i pochowane na cmentarzu. Rozpoznano 29 zwłok . Reszta była tak zmasakrowana, że nie można ich było zidentyfikować.

W dzień Zaduszny 1939, rychłym rankiem, zajechało auto transportowe na dziedziniec więzienia. Wywoływano ludzi po nazwisku z cel. Miało się wrażenie, że wybierają tych, którzy byli świadkami zajść z przed tygodnia. Przeważali wśród nich nauczyciele. Na podwórzu kazano im zostawić płaszcze i czapki. Pluton egzekucyjny wsiadł na wóz. Zawieziono ofiary do lasów gniewkowskich. Wszelki ślad po nich zaginął.

Następnego dnia, 2 listopada , nowy cios dla miasta. Do sali starostwa zostali zwołani wszyscy księża z dziekanatu inowrocławskiego. Oświadczono im, że są uwięzieni. Wszystkich wywieziono. Zrazu do Oranienburga, potem do Dachau. Tablica na kościele Panny Marii świadczy o losach księdza Stanisława Kubskiego, proboszcza, zagazowanego w komorach gazowych w Dachau w maju 1942. Doskonały administrator, człowiek wielkiej pobożności, odbudował był gmach świątyni Panny Marii, zapadły częściowo w podziemiach miasta, wypłukanych przez solankę lokalnych żył geologicznych.

Również ksiądz Bolesław Jaśkowski, proboszcz Św. Mikołaja jest między ofiarami. Zginął kanonik Fibak z Kruszwicy, uśmiercony zdaje się w Dziekance pod Gnieznem. Zginął ks. Franciszek Matuszewski, proboszcz z Góry, znany z pogrzebu S. Przybyszewskiego 1927 r.

Poważną stratą wśród inteligencji miasta było wywiezienie w styczniu 1940 Zygmunta Czapli, porucznika, powstańca z 1919, heraldyka, pisarza regionalnego i historyka Kujaw, syna znanego działacza ludowego z okresu kościelskiego. Posiadał on poważne zbiory, znał wspaniałe dzieje rodzin i miast kujawskich, był zżyty ze środowiskiem i predysponowany na autora dziejów miasta Inowrocławia, do których zebrał był bogate materiały. Wielka szkoda, że dzieje te nie zostały napisane przed rokiem 1939. Istnieją setki artykułów Zygmunta Czapli, ale brak syntezy. Zbiory zostały przez Niemców w dużej mierze zabrane i zniszczone. Zniszczyli oni również archiwum miejskie, kolekcje „Gazety Kujawskiej" i „Piasta", muzeum prehistoryczne i kolekcję artystyczną magistratu. Zygmunt Czapla zginął w styczniu 1941 w Dachau.

Wyjałowiony przez egzekucje i deportacje grunt kujawski puszczał mimo wszystko źdźbła i kwiaty patriotyzmu. W podziemiu działały liczne ugrupowania polityczne, zwłaszcza od roku 1943, kiedy szala zwycięstw zaczęła przeważać na korzyść aliantów. Młodzież należała do podziemnej grupy Paszoty i Dziuby, którzy mieli kontakt z Warszawą. Obydwaj zostali odkryci i straceni. Praca mimo to nie ustawała. Paszota był krawcem, Dziuba nauczycielem i porucznikiem rezerwy. Czynni byli harcerze, Polski Czerwony Krzyż, Tow. charytatywne, wspomagając żywioł polski materialnie, i różne inne organizacje.

Wielu uczestników dostawało się do obozów pracy w Inowrocławiu. Czytając częstokroć w nekrologach: „Zmarł pod Inowrocławiem", wybrałem się z jednym z byłych jeńców obozu, na to miejsce cierpień. Teren ogrodzony płytami betonowymi i drutem kolczastym. Dziś z 5 baraków pozostały tylko trzy, zniszczone zresztą do połowy. Przypadkowo spotkaliśmy kogoś, kto spędził w miejscu tym parę miesięcy: uciekał przerażony i nie dał się namówić do zwiedzenia z nami nienawistnego terenu. Na tym miejscu — opowiada mój towarzysz — padł trupem starzec wieśniak, którego zmuszono przez dwie godziny do noszenia ciężkich głazów. Tu jeden z czterech obozowych psów zdarł skórę z napadniętej kobiety Obok przy oknie majaczyła szubienica, gdzie między innymi, zginął niezwykle dzielnie jeden z dwóch uciekinierów z obozu. Przyprowadzony po roku, wchodził odważnie na wzniesienie, oświadczywszy: Ja im pokażę jak umiera żołnierz 61 pułku". Do widzenia, koledzy — zdołał krzyknąć do stojących na dziedzińcu szeregów. Wierzyć się nie chce, stanąwszy w komorze tortur, że człowiek potrafi tak podle znęcać się nad człowiekiem. Trudno umysłem objąć ogrom zadanych tu katuszy.

Za murem, gdzie stoi drewniany krzyż, owinięty drutem kolczastym, podobnym zdaleka do Chrystusowej korony cierniowej, leżą niewygrzebane dotąd ciała zabitych i zmarłych. Pół tysiąca zwłok innych ofiar spoczywa na cmentarzu przy ul. Marulewskiej. Zwiedziłem te kwatery, tonące w kwiatach, lśniące w cieniu drzew i plantów. Rozmowa z grabarzem, który był świadkiem przywożenia zwłok z obozu i pomordowanych ofiar z więzienia przy ul. Pakoskiej w ciągu całej okupacji, wywołuje w nas wizje tych strasznych nocy, kiedy przy świetle księżyca lub przy latarniach w pełnym mroku zrzucano nagie lub w worki papierowe osłonięte trupy do kopanych przez niego dołów.

Prezydent Jankowski, stracony 22 października w tak tragiczny sposób był gorliwym propagatorem kultu Kasprowicza i Przybyszewskiego w ich rodzinnym regionie. Co się stało z ich pomnikami? Wzniesiony przez niego pomnik Jana Kasprowicza, dłuta Haupta, przy ul. Kolejowej, został wnet zrzucony z piedestału. Już przed rokiem 1939 nienawistni Niemcy powtarzali z przekąsem: Auf dem deutschen Stein sitzt das polnische Schwein, robiąc aluzję do pomnika Wilhelma I, który w 1918 został ściągnięty z cokołu. Tym razem Niemcy, usunąwszy postać poety, zburzyli nawet podstawę z granitu i piaskowca. Leży ona, nieznacznie tylko uszkodzona, w magazynie naprzeciw koszar. Przez trzy lata w szopie drewnianej na tymże placu ukrywali robotnicy polscy pomnik Kasprowicza. Zdawało im się, że zdołają go przechować do lepszych czasów. Traf chciał, że przy budowie kuźni w szopie trzeba było oddać część pomieszczenia na miechy kowalskie. Niemcy zauważyli przy tej robocie spiżowy tors poety, kazali rozbić go na części i wywieźć łom do fabryki, grożąc dochodzeniami tym, którzy posąg zakonspirowali.

Nie można, bawiąc na Kujawach nie odwiedzić rodzinnych miejsc Kasprowicza i Przybyszewskiego. Dotyczy to przede wszystkim Szymborza. Zanadto zrosło się ono z twórczością poety, szczególnie z jego „Hymnami", żebyśmy je mogli oddzielić od jego osoby.

STANISŁAW ŁUCZAK

INOWROCŁAW

KREDA

Droga do Szymborza, niegdyś szumiąca starymi wierzbami i lipami, stoi tragicznie pusta. Zniknęła kapliczka-figura, pamiętająca czasy, kiedy uczeń gimnazjalny z Szymborza kroczył tędy do szkoły. Fatalne wyboje nie zbrukowanej jezdni nie dodają uroku szlakowi, który prowadzi w świat poezji. Konieczne jest zadrzewienie tej historycznej już dziś drogi. Zapewne uda się także odbudować Boże Męki i kapliczki przedszymborskie. Całe procesje młodzieży, wycieczkowiczów i kuracjuszów wybierało się i wybierać się będzie do Szymborza: dojście winno być inne niż to dzisiejsze.

Tablica na szkole szymborskiej została już przybita na ścianie. Dawna, ta sama co w roku 1926. Dom rodzinny, odebrany przez Niemców podczas wojny siostrze poety, Annie Roliradowej, żyjącej dotąd, znajduje się znów w jej posiadaniu. Staruszka cieszy się wizycie i pyta o znajomych. Otrzymuje 400 zł zapomogi i boryka się z trudnościami. Nie jest w możności przyozdobić izby, poświęconej pamięci brata. Spodziewać się należy, że referat kultury i sztuki lub magistrat w Inowrocławiu nie omieszka urządzić wnętrza tej świetlicy. Parę obrazów, sztychów, portret poety, zbiór rycin krajobrazu kujawskiego, aż się prosi, żeby go tutaj umieszczono. Dziwić się trzeba, że dotąd tego nie zrobiono. Księga gości i stos podniszczonych gazet to zamało na miejscu drogim całej Polsce.

Wzruszające wrażenie robi miejsce rodzinne, otoczenie i familia Kasprowiczów. Świadomość, że tutaj tkwi podłoże fizyczne, psychiczne i plemienne wielkiego twórcy, pogłębia i skupia uwagę widza. Rodowód poety nie jest idyllą. Akta wspominają o silnych pasjach miotających sercami tych podmiejskich chłopów. Dziadek poety, Franciszek Kasprowicz, zginął z ręki szwagra Kopcia w sporze o grunt. Stryj, Stanisław Kasprowicz, zabił w gniewie sąsiada. Szekspirowskie zbrodnie legły się w tych opłotkach. Bujny ten siew buchnął w wnuku i bratanku płomieniami biblijnych wizji, chorałów i kościelnych żalów.

Nie żyje ukochana siostra Jana, Antczakowa. Przytoczę przy okazji pismo brata do niej, nigdzie zdaje się dotąd nie publikowane. Ciekawa jest ta pocztówka ze względu na okres swego powstania. Idzie o pierwsze miesiące wojny światowej. Tekst podaję w tłumaczeniu polskim, bo ze względu na cenzurę wojenną, musiał poeta wiadomości te przesłać po niemiecku. Adresatem jest Stanisław Antczak, siostrzeniec poety, ogrodnik. Poeta figuruje jako nadawca z tytułem profesora uniwersytetu i doktora. Datę odczytać można ze stampili pocztowej: 6—X—14, Kraków. Oto tekst: „Mój kochany Stasiu. Piszę po niemiecku, bo inaczej teraz pisać nie można. Posłałem już parę kart do was, lecz dotąd nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Napisz mi odwrotnie po niemiecku, czy jesteście wszyscy zdrowi, czy babka czuje się dobrze i czy twój brat Jasio jest na wojnie. My jesteśmy tutaj w Poroninie, tylko Hanka nie zdążyła wrócić z Monachium. Byliśmy tu jeden miesiąc zupełnie bez pieniędzy, ale teraz już jest lepiej. Pisz tylko na pocztówce. Pozdrawiam was wszystkich najserdeczniej. Twój Jan.“

Babką, o którą Jan Kasprowicz pyta, jest jego matka, Józefa Kasprowiczowa. Syn słusznie dopytuje o jej zdrowie. Chorowała ona i miała w niespełna dwa miesiące później, dnia 31 grudnia 1914 roku rozstać się z tym światem. Syn nie będzie mógł przybyć na jej pogrzeb, wspominać ją będzie tym serdeczniej w „Księdze ubogich“.

Dawno minęły czasy, kiedy w domu w Szymborzu było więcej pamiątek. Laskę poety, jego portret, parę listów, złożono w magistracie. Przepadły one w czasie ostatniej inwazji. Może Inowrocław, który nie ma dotąd żadnej czytelni miejskiej, stworzy choćby skromny ośrodek muzealny, gdzie można by zacząć gromadzić pamiątki po sławnych Kujawianach. Chata w Szymborzu, jedna jej bodaj izba, winna zmienić się w ośrodek kultu dla poety. Półki powinny zawierać książki pisane przez niego i pisane o nim. W gablotkach winny znaleźć się autografy i zdjęcia. Na ścianach wersety z jego wierszów. Pomnik w Inowrocławiu zapewne z czasem odtworzony zostanie.

A Stanisław Przybyszewski? Pamięć o nim jeszcze bardziej zaniedbana. W zbiorach inowrocławskich w ratuszu zaginęły rękopisy, ikonografia i rzeźba Ostrowskiego, wykonana w gipsie w Paryżu w 1905, dar niż. Rotha z Warszawy. Tablicy na kamienicy, w której mieszkał nie raz, do r. 1939 nie ufundowano. W Łojewie, dokąd się udałem, ani śladu po napisie i tablicy umieszczonej niegdyś na zewnętrznej ścianie dawnej szkoły na miejscu, gdzie poeta się urodził. Ze względu na wagę, jaką poeta przywiązywał do tego piastowskiego, nadgoplańskiego uroczyska, pamięć jego musi bezwzględnie być tu materialnie wyrażona. Dawna tablica to minimum. Prócz tego w izbie szkolnej, czy w świetlicy wiejskiej, czy w pokoiku u Pierników, gdzie poeta zamieszkiwał jako student w 1892 r., koniecznie znaleźć się muszą pamiątki, książki, repliki, ilustracje, przypominające młodość poety tu spędzoną. Co jak co, ale Łojewo weszło głęboko w twórczość Przybyszewskiego, szczególnie tę z pierwszych lat do roku 1900.

W Górze grobowiec poety nie uległ na szczęście zniszczeniu. Broniła go ziemia cmentarza. Zdala błyszczy napis: „Piewca Wielkopolski, Meteor Młodej Polski“. W r. 1939 tuż przed wojną monumentalne dzieło prof. uniwersytetu z Lille, Maxima Hermana, przypomniało światu znaczenie i treść działalności pisarskiej Przybyszewskiego. Praca liczy kilkaset stron i jest prawdziwym hołdem dla jego geniuszu. Studium o modernizmie polskim, pióra Kazimierza Wyki, mające się wkrótce ukazać, przedstawi naturę i kierunek prądów tego ciekawego okresu. Publikacja niżej podpisanego pod tytułem „Meteory Młodej Polski“ przypomni młodość mistrza i jego żarliwą świtę z okresu krakowsko-warszawskiego. Temu samemu celowi służyć będzie studium Inowrocławianina, dra Aleksandra Rogalskiego, o demonizmie Przybyszewskiego.

Dzisiaj, kiedy miejsca wycieczkowe, związane z wschodnimi ziemiami, znalazły się za kordonem, pamiątki i miejsca uświęcone życiem pisarzy kresów zachodnich, staną się celem pielgrzymek szerokich mas, młodzieży i dorosłych. Gniezno, Lednogóra, Biskupin, a przede wszystkim szlak Inowrocław-Kruszwica, z Szymborzem, Łojewem, Górą, Jarontami, miejscem śmierci Przybyszewskiego, wchodzą tutaj w rachubę. Zadrzewione drogi, po prostu, lecz pięknie, stylowo, ludowo urządzone punkty pamiątkowe winny charakteryzować ten zakątek. Kujawy, trzon ziemi piastowskiej, skojarzenia z pierwszą dynastią, organizującą skuteczny opór przeciw Niemcom, i ta para poetów, tych dwóch Dioskurów, zrośniętych tragicznie z sobą w życiu i pieśni, Kasprowicz i Przybyszewski, muszą wrastać w świadomość i wyobraźnię mas. Ich wynurzenie się z mas ludowych sprzyjać winno temu kultowi. Oczekuję w ciągu dwóch-trzech lat takiego urządzenia ich miejsc pamiątkowych, że staną się magnesami uświadomionych cząstek społeczeństwa.

Omawiam sprawę tę z bydgoską ekipą „Arkony“. Zwiedzili Szymborze, Łojewo i Górę. Ujmą zapewne rzecz tę w swoje ręce. Plastycy tamtejsi powołani są do tej wdzięcznej roli, tym bardziej, że Inowrocław stracił przez wojnę swoją elitę artystyczną.

Na szczęście sąsiedni Barcin zachował przedstawiciela literatury ludowej, Jakuba Wojciechowskiego. Autor „Życiorysu robotnika“, przetrwawszy całą wojnę w Barcinie, bierze dziś żywy udział w życiu polityczno-społecznym miasteczka. Nie pracuje już w fabryce. Otrzymał stypendium z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Posłał do oceny i druku trzy prace: „Zarazę hitlerowską“, rozmowy z Niemcami, szczególnie z tymi, którzy przeczuwali smutny koniec niepoczytalnej zabawy; „Szczęście Jadwigi“, echa opowiadań zasłyszanych od towarzyszy pracy niegdyś w młodości pod Dolskiem i Gostyniem, oraz „Tajemnicę małżeńską“, także wspominki tragedii wieśniaczych z nad Prosny. Należy się spodziewać, że nie jedno jeszcze opowiadanie otrzymamy spod pióra wybitnego sześćdziesięciodwu-letniego dzisiaj pisarza klasy robotniczej.

Stanisław Helsztyński

Teodor Mikołajczak

NOC ZAMKNIĘTA

Dzień mokry czerwienią znika krwi,
pozamną cichy stajesz nocą —
łzy wiszące gwiazdami u brwi
wiatr zrywa w czarną dłoń przemocą.

To noc z postaci cię odarła,
ciemnością z białych zwaliła dróg
z ust zmierzchem brzask wiśniowy starła
znużone kroki zgasiła nóg.

Przywarły oddechem do taśmy,
kul zabójczych licząc różaniec
spojrzałeś w oczy czarnej baśni,
płatkami róży ścieląc szaniec.

Skroploną potem białą szosę
za tobą noc zamknęła krwawo —
z nóg czarna krew płynąca rosą
skoszoną w dłoni krzepła trawą.

W nawianym piasku żółtych sosen
rzuciłeś ciało pod ślad sarni,
by cichą nocą najbliższych wiosen
zaszumieć tęsknie runią darni.

PRÓG

Minęły noce zbrodni
i rdzawy pożar gwiazd —
ku zorzom wykuł chodnik
w stalowym hełmie czas.

Kule zmienione w pszczeli
brzęk — zdjęły z wargi ból —
krew z rany wsiąkła w kielich
czerwonych kwiatów pól.

Rozdarta miedza zrosła —
modrakiem sięga rąk,
a stokroć biała siostra
uśmiechem patrzy łąk.

Dzień cicho milknie różą,
rdzewieje śmierci stal —
w czarnoziem świt zanurza
błękitnych pługów dal.

Przywiane w okno wiatrem
zielone echa mogił
zmartwychpowstają światłem;
chleb łamią ze mną w progu.

F. A. Kirło-Nowaczyk

* * *

Dziewczyny niosą księżyce,
gwiazdy wplatają do włosów
zmierzch im maluje oblicze,
kolana i pięty bose...

I pójdą razem nad wodę,
ramiona zamienić w wiosła
ciał nagich smagłą urodę
noc będzie w ciemność złą niosła...

Aż krwią jak głogiem na wardze
miłość zakwitnie, zaboli
i cichej odpowie skardze
drwina chłopięcej swawoli...

Tymon Niesiołowski

ZE WSPOMNIEŃ O JANIE KASPROWICZU

Jan Kasprowicz był bardzo przystępny i prosty w obejściu. Z wielu ludźmi zaprzyjaźniał się szczerze. W wielu wypadkach pozostał wiernym towarzyszem do śmierci (mnie spotkał ten zaszczyt, a byłem najmłodszy).

Około roku 1901 czy drugiego, złożyłem wizytę Janowi Kasprowiczowi przy ulicy Supińskiego we Lwowie, zaprowadzony przez nowego przyjaciela, kóry opętany literaturą deklamował mi wiersze wszystkich naszych poetów nie wyłączając własnych.

Mieszkanie Kasprowicza było nie wielkie, zawieszone całe obrazami i kilimami. Świecznik z bronzu był tematem pierwszej rozmowy naszej. Za jakieś zobowiązania pieniężne omal nie został zlicytowany, a fakt ten mógł zatruć dni i noce człowiekowi takiemu, jakim był Jan Kasprowicz, wrażliwemu, a przy tym przywiązującemu się do rozmaitych drobiazgów.

Na szczęście świecznik ocalał; spoglądaliśmy na niego z szacunkiem i wówczas czy może dopiero przy następnej wizycie otrzymałem świeżo wydany tom „O bohaterskim koniu i walącym się domu".

Spotykaliśmy się często w kawiarni Szaidera przy ulicy Akademickiej popołudniami, gdzie Kasprowicz grywał w domino z Solskim utrzymując, że jest to gra, która wymaga dużego sprytu i intuicji. Poza tą kawiarnią miejscem spotkań była redakcja „Słowa polskiego". Jan Kasprowicz jako recenzent i współpracownik swego przyjaciela Zygmunta Wasilewskiego zasiadał za biurkiem z marsem na czole, który nikogo nie przerażał, tak jak pomstowanie rubaszne na inny światopogląd polityczny nikogo nie odstraszyło; bo poza tym wszystkim kryło się serce wybaczalne dla najlichszego nawet umysłu.

Zapalał się w dyskusjach, gdy go temat wyjątkowo zaabsorbował. Mrużył oczy, dłonią i ramieniem podkreślał każde zdanie i po paru kieliszkach wina płonął i grzmiał nieustępliwie. Terenem częstych dyskusji była restauracja Naftuły. Schodziła się tam wieczorami śmietanka artystów i literatów, na „pilznera" poprzedzonego bigosem, kotletem wieprzowym lub sznycelkiem wiedeńskim wielkości pół talerza. Sam właściciel o wyglądzie hetmana i tuszy, która czyniła reklamę jego jadłodajni, przysiadał się do stołu poezji a w dnie wyjątkowe stawiał z własnej piwnicy węgrzyna.

*

Od roku 1904 zamieszkałem w Zakopanem, dokąd już poprzednio przyjechał Jan Kasprowicz. Za miejsce pracy obrał najcichszy zakątek Poronina, dokąd i Leopold Staff zaglądał, WładysławJarocki, malarz i inni artyści jak w roku 1905 Władysław Ślewiński z żoną i dwoma pieskami: Fifą i Bączkiem i wszystkimi bretońskimi meblami. Poza własnymi obrazami trzy piękne Gauguin'y.

Władysław Ślewiński wniósł świeży powiew sztuki zachodu do naszej secesyjno-monachijskiej. Wszyscy byliśmy pod wpływem jego rozmów. Jan Kasprowicz biadał teraz, że pod obrazem F. Ruszczyca „Ziemia" napisał kiedyś czterowiersz. Bił się w piersi i kajał się za swój błąd. A Ślewiński suchej nitki nie zostawiał na wszystkich monachijczykach. „Bez miłosiedzia (ulubione wyrażenie J. Kasprowicza) skrytykował mnie Ślewiński za ten niebaczny uczynek poetycki pod złym obrazem, ale trudno, stało się".. „Ziemia" sam ten tytuł już ekscytował poetę. Wyrósł z tej ziemi i pokazanie jej w obrazie Ferdynanda Ruszczyca wystarczyło, by obudzić chłopa z Kujaw. Jeżeli malarz apoteozuje Ziemię, to obowiązkiem poety jest podpisać się jeszcze swoim imieniem pod czarną skibą Ruszczycowską, która tyle słów krytyki nastręczyła Ślewińskiemu. Bo dla Ślewińskiego — artysta malarz mógł się tylko wytłumaczyć harmonią barw. Tam gdzie tej harmonii nie było, artysta nie wytłumaczył się uczciwie.

Wiele mówił nam Ślewiński o Gauguin'ie, którego był uczniem. Swymi opwiadaniami takie wzbudził w nas zainteresowanie, że wyruszyliśmy ze Stanisławem Ignacym Witkiewiczem do Wiednia na zbiorową wystawę Gauguin'a. Był i Kasprowicz równocześnie z nami na tej wystawie, w przeieździe do Włoch. Czy Jan Kasprowicz odczuł piękno płócien Gauguin'a — wątpię, musiały jednak zrobić na nim duże wrażenie; już samą egzotyką musiał być poruszony. Wyrażał podziw dla nagusów brunatnych, błądzących pośród kwiatów i drzew na czerwonej ziemi Tahiti. Z grupy polskich literatów Jan Kasprowicz i Władysław Orkan zdradzali największe zainteresowanie sztuką. Kasprowicz dawniej sam rysował a Władysław Orkan próbował malować w swojej „Porębie".

*

Dziś wiele chwil spędzonych w Poroninie i Zakopanem z Janem Kasprowiczem, zatarło się w pamięci. Pewne tylko epizody pozostały niezapomniane, jak ten przy spotkaniu we Florencji, gdzie zaprosiłem jeszcze Jana Rembowskiego, malarza, i we trójkę wyjechaliśmy do Fiesole, ale zamiast zwiedzać resztki etruskich murów, zwiedziliśmy austerię, a Jan Kasprowicz na widok fiasca czerwonego wina, począł z razu wychwalać jego taniość a po kilku szklankach wykrzykiwał już teksty z Ejschilosa. Poczym w humorze bachicznym wyśpiewywał z napotykanymi robociarzami włoskimi „O Mary" i powiewał swoim kapeluszem „Panama". Z Florencji wyjechał do Sorento, ja do Ravenny, gdzie byłem bardzo samotny mimo wesołej kartki Kasprowicza, w której ostrzegał mnie przed nadużywaniem wina włoskiego.

Po powrocie z Włoch mówił o spotkaniu w Sorento kobiety, która zachwyca się jego poematami i chce je tłumaczyć. Utrzymywał, że nikt go tak dotąd nie rozumiał, jak właśnie ta kobieta. Była nią panna Bunin, córka rosyjskiego generała — później żona Jana Kasprowicza. W sposób delikatny i wysoce inteligentny zdołała się wczuć w jego hymny; umiała mówić tak sugestywnie, że z taką bezpośredniością i wyczuciem poezji spotykał się po raz pierwszy. Widać było, iż znajdował się pod jej urokiem, pod urokiem panny Bunin, późniejszej swej żony.

Tymczasem przemieszkiwał we Lwowie, gdzie został powołany na profesora. Był przejęty swoją rolą, nawet dumny, że może wykładać swoją ulubioną literaturę angielską. Latem tylko wpadał na trzy miesiące ferii do Poronina skąd robił wypady w Tatry, by tam z przełęczy Lodowej podziwiać

płonące zorze. Miał na wszystko czas rozdzielony, że mu nigdy nie było go brak, co podziwiali przyjaciele. Rankami oddawał się pracy, po południu spacerom, wycieczkom lub przyjaciołom, którzy go odwiedzali.

Każdy czuł się sobą w towarzystwie Jana Kasprowicza — nie krępował nikogo, umiał się przystosować do poziomu każdego z kim rozmawiał, czy to był dziennikarz, kolega po piórze, czy też wyrobnik lub półinteligent a wreszcie parobek albo już dostojny gazda. Wszyscy wyczuwali wyraźne ukojenie i odnajdywali jakby siebie samych, w codziennych sprawach zatracone „ja" wracało do ludzi i rozstawali się z poetą niby bogatsi o jakąś siłę niewiadomą, o jakąś wartość nieuchwytną, nieuświadomioną często. Sam ilekroć tylko myślę o dawno zeszłym ze świata Janie Kasprowiczu, lepsza jakaś cząstka emanuje ze mnie. Jestem jakby naświetlony Jego istotą a cząsteczki Jego jaźni jeszcze nie wypromieniowały ze mnie doszczętnie. Nie pozostawił po sobie, jak inni czasem (najlepsi nawet ludzie), zmieszanej z ostatnim wspomnieniem goryczy promienia, zadry, którą łatwo pobudzić do życia.

Były dnie często bardzo samotne dla Kasprowicza, nim powziął decyzję zmiany życia. Bo tak się składało, że nie zawsze córki towarzyszyły mu. Wówczas, najczęściej już pod jesień, gdy ciche płyną godziny na Podhalu, gdy dopalała się jeszcze Kasista i stary Gerlach, a cień już mrokiem kładł się po dolinie, Jan Kasprowicz brał do garści siekierę i niby to odprowadzał mnie tylko do zakrętu drogi, do kapliczki, za nią jest jeszcze jeden zakręt (za Bachledami), potem Zwijaczków, osiedle i nie warto wracać: Chramcówki już widać i Zakopane. Dwie, trzy godziny można jeszcze posiedzieć przy piwie u Karpowicza na Krupówkach.

Zabierzemy z sobą jeszcze Kazia Brzozowskiego, ktoś się inny nawinie, a Karpowicz, dawny znajomy ze Lwowa, gdzie w Klubie Literatów prowadził bufet, porozmawia chętnie, a tęgi jego brzuch trząść się będzie od śmiechu gdy powie jakiś dowcip i jeszcze tęższych rozmiarów jego małżonka, z wiecznym uśmiechem na ustach, przyjaznym dla każdego. Czuliśmy się jak na łonie rodziny, bez zobowiązań grzecznościowych, ukłonów i zdawkowych rozmów. Około północy, powrót Jana Kasprowicza do Poronina, w roziskrzoną noc gwiazdami, które nigdzie tak nie fosforyzują jak pod Tatrami. I żadna siła ludzka nie mogła skłonić poety do pozostania choćby u tegoż Karpowicza, który miał hotel jesienią stojący pustką. Musiał spać u siebie, w Poroninie. Nie mógł sobie odmówić codziennej kąpieli w potoku za domem. A gdy zdarzyło się, że nadużył napojów wyskokowych, szelkami biczował nagie plecy i łżył siebie jako grzesznika. Po tym śniadanie i samotny spacer nad potokiem albo gdzieś po zboczach i rżyskach z małym notesikiem w ręku. Łowił tak te proste strofy, które potem wyszły w wydaniu książkowym jako „Księga Ubogich" i „Mój Świat".

*

Jeden z najpiękniejszych swoich hymnów pisał w małym domku u Telermana, żyda który sprzedawał woźnicom góralskim wino gdy wracali z lasu z drzewem. Raz spacerem idąc ulicą Kościelską po zachodzie słońca wstąpiliśmy do mieszkania owego Telermana. Drzwi były zamknięte. Na nasze stukanie stary żyd otworzył drzwi i prosił nas byśmy weszli do izby. Cała rodzina leżała już w betach. Żona Telermana wysuwając głowę spod pierzyny, wspominała te dawne lata gdy mieszkał tutaj i „modlił się głośno do Boga, jęczał i śpiwał" — jak mówiła. (Pisał wówczas „Święty Boże" w przyległej izbie). Dziwili się jego pobożności i tej żarliwej modlitwie. Telermanowa sama teraz poczyna skarżyć się i jęczeć przed nami, na okrutny los swój i karę Bożą, która im odebrała córkę. Gorzej niżby śmierć ją wydarła, bo porzuciła ich wiarę i zbałamucona przez generałową Zamoyską przechrzciła się. „Dawniej pisała do nas, teraz milczy. Czyżby ta nowa wiara zabraniała kochać swoich starych rodziców?" Tak kończyła Telermanowa, rozdrapując świeżą ranę.

*

W Poroninie istniał mały sklepik Piotra Kupca, gdzie górale zaopatrywali się w świece, wędliny, śledzie, napoje. Osobny był pokoik do śniadań i dwa przyległe dla gości (letników). Postanowiliśmy lokal ten (w którym bywał Kasprowicz z przyjaciółmi) ozdobić malowidłami. Wypadło to przedsięwzięcie na rok 1914. Pierwszy rok wojny światowej. Odpowiednia chwila, aby się zmobilizować na osobności. W oddaleniu od głównego traktu, przez który nowozaciągnieni śpieszyli na stację kolejową.

Już późną jesienią zabraliśmy się do dzieła — zawiązania klubu cywilów i malkontentów, słowem ludzi, którzy muszą się gdzieś spotykać. Cel był jasny, gdzieś należało manifestować swoją antymilitarną postawę i udzielać sobie wzajemnie wiadomości, nasz anti-austriacki sztandar rozwinąć bezpiecznie. Po paru dniach pracy — zabawy (w której brali udział Kazimierz Brzozowski, Władysław Jarocki, zięć poety i ja), trzej malarze ozdobili dwa pokoje przeróżnymi wzorami i eso-floresami, które rozjaśniały wnętrze lokalu Piotra Kupca. Centralnym dominante był sam Jan Kasprowicz wymalowany jako Bachus z wieńcem chmielu na głowie, siedzący na beczce. Sentencje umoralniające pijaków pstrzyły się napisami w odpowiednich ornamentach. W tym nowym klubie urządzono wigilię Bożego Narodzenia, z uczestnictwem zaproszonych gości.

Pociągi tymczasem odwoziły żołnierzy na front. Niemcy zajęli Belgię i wkrótce „gruba Berta" miała ostrzeliwać Paryż. Oddziały strzelców ćwiczyły swoje kadry na każdym rżysku i polance. Daniłowski i Orkan włożyli mundury za przykładem Sieroszewskiego. Wszyscy byli militarnie nastawieni. My — poza nawiasem; staliśmy się podejrzanymi. Nie-obywatele austriaccy musieli wcielać się do armii, albo iść do legionów. Nie uszedł aresztowaniu i Lenin, przebywający wówczas na Podhalu. Musiał Kasprowicz i inni przedkładać pisma Lenina, na dowód, że właśnie on, Lenin walczy z caratem i dąży do obalenia istniejącego rządu w Rosji. Zwolnionego Lenina wysłano do Szwajcarii.

*

Często skracałem drogę z Zakopanego do Poronina przemykając się ścieżką wzdłuż toru kolejowego. Na zakręcie spotykała mnie szosa, którą przecinałem idąc z południa na północny wschód ku potokowi, który płynął z szumem po kamieniach pełny piany białej, by rozlać się za chwilę na gładkim dnie, czerwonym jak rdza. Pozostawiałem za sobą Tatry szaro liliowe i nasycone nieba błękitem.

Wchodzę na most, pochyłą ścieżką pnę się na stromy brzeg. Przede mną dawne pragnienie Janka — własny dom „Harenda", który stał się rzeczywistością. Książki nadeszły ze Lwowa w skrzyniach, w tłok i Radziwiłłowska biblia Wujka, perła zbiorów a zazdrość bibliofilów. Książek jest tak dużo, że leżą we wszystkich pokojach na krzesłach, stołach, stołkach i na podłodze. Stolarze górale robią pospiesznie półki z pachnącego świerkowego drzewa. Kominek, który zaprojektowałem budują murarze górale. Antosia, służąca, rady sobie dać nie może z tylu pracownikami.

Czasem wpada sąsiadka Gałowa na pogawędkę, nie rozwlekła bez treści, jak inne kumoszki z innej nacji, nie góralskiej. Tu każde zdanie jest zbudowane z podmiotu i orzeczenia, fraine, soczyste i obrazowe. Góral ma całe okresy tak dosadne i literacko doskonałe, że Tetmajer, z którym jeździłem po całym Podhalu, mógł nie zmieniając ani jednego słowa — całymi zdaniami wpisywać w swoje opowiadania góralskie. I Kasprowicz cenił te ich pogwarki, bo zawsze były o czymś, a nie o niczym, jak to i u naszej inteligencji najczęściej się spotyka.

A plącze się tu jeszcze Smok, wielki biały liptowski owczarek, nie mało napędzą strachu kurom, gęsiom i innej „gadzinie". Niezmiernie pomysłowy i dbały o spiżarnię swego pana, bo czasem kurę całą przyniesie, czasem sera osełkę wykradzioną z kosza gaździnie... (Musiał się Kasprowicz odpłacać potem wszystkim poszkodowanym gospodarzom...).

Cieśle i stolarze o świcie wiercą i heblują. Kasprowicz dobudowuje piętro dla dwóch córek i rozszerza „Harendę" kupioną w 1924 r. za pieniądze uzyskane ze sprzedaży wszystkich tłumaczeń. Na podwórku stoi już żuraw — duma Kasprowicza i podziw okolicznych górali, którzy nigdzie takiej studni nie widzieli.

„Harenda" stać się miała wkrótce Mekką dla przyjaciół i znajomych z całej Polski — gościnną i serdeczna. Nastrój ten umiała utrzymywać pani Marusia

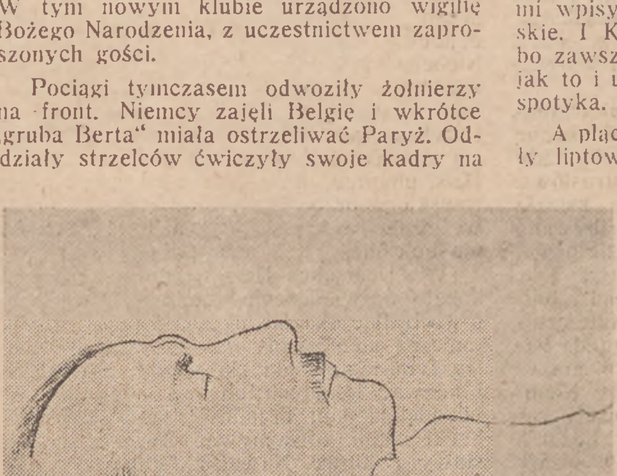

TYMON NIESIOŁOWSKI
JAN KASPROWICZ NA ŁOŻU ŚMIERCI

Kasprowiczowa, prowadząc dom dla wszystkich otwarty. Nawet już nie było napisu na drzwiach jak przed laty „Porad młodym poetom nie udzielam". Każdy miał wstęp na „Harendę".

Jan Kasprowicz ukochał podtatrzańskie ubogie pola i łany owsa skąpego. Halny wiatr, który trząsł jego domem, dalekie hukania juhasów i nocne przyśpiewki pijanych górali. I to przedziwnie czyste, kryształowe, jak zdrój powietrze. Przywędrował z Kujaw, by ukochać ten świat, niczym własną ojczystą strzechę, w której przyszedł na świat.

Szło się koło Hyców zagrody, potem zaraz Zwijaczów dom. Już zakręt za Bahledami i między opłotkami główny trakt aż do Kapliczki gontami krytej. Potem brzegiem potoku dochodziło się do mostu, skąd pod stromy brzeg wspina się sąsiad Marduła, ja za nim. Tu już „Harenda". Nad potokiem budują kładkę, która wprost do stóp schodów prowadzi.

— Organki grają! Słyszycie Panie? — mówi Marduła.

— Słyszę.

To Kasprowicz gra na fisharmonium swoje ranne modlitwy. Już nie ma swego kosmyka włosów na czole. Ostrzyżony krótko, wygolony, z małym wąsikiem przyciętym, mizernieje, chudnie. Oczy przygasają. Idzie dumać na swoją kładkę i patrzy, patrzy w pieniący się potok.

Pragnienie prześladuje go: pije wodę szklankami, nie może ugasić pragnienia. Cukrzyca czyni spustoszenia. Jan Kasprowicz z dnia na dzień czyni się coraz cichszy, z każdym rankiem zstępuje do grobu. Rok 1926 — zły, kładzie kres Jego życiu. Miał tylko jedną prośbę przed śmiercią, by Go pochowano przy drodze pod małą kapliczką dla ubogich, w pobliżu umiłowanej „Harendy", którą cieszył się tak krótko.

Tymon Niesiołowski

Jan Piechocki

POMORZE BEZ POMORZAN

„DEUTSCHES HEIM" BOGUSZEWSKIEJ I KORNACKIEGO

Z pewnym zdziwieniem stwierdzamy, że powieść Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego „Deutsches Heim", wydana po raz pierwszy w roku 1937 ,tak mały znalazła oddźwięk w Polsce przedwrześniowej. Autorzy przytaczają na to dowody w przedmowie do nowej edycji (wydanie drugie — Warszawa 1946) i podkreślają wymowne przemilczenie utworu w ówczesnej prasie sanacyjnej, nawet pomorskiej i poznańskiej. Zważywszy aktualność tematu dla całej Polski w przededniu napaści Niemiec na nasz kraj zastanawia również zbyt lakoniczna wzmianka pióra Piwińskiego w tak poważnym wydawnictwie jak „Rocznik Literacki za rok 1937". Rozumiemy dziś, dlaczego tak się stało. Za ery łudzenia siebie i narodu mirażem „dobrosąsiedzkich stosunków z Rzeszą" nie chciano rozgłaszać o powieści, która dawała wstrząsający w swej grozie obraz hitlerowskich knowań na polskim Pomorzu.

Dla Rzeczypospolitej byłoby niewątpliwie lepiej, gdyby wysokie i wyrafinowane koterie literackie Warszawy mniej miały kultu dla dyplomacji i taktyki strusiów... Gdyby napęczniałej aktualnością książki Boguszewskiej i Kornackiego nie zbywano półgębkiem, lecz reklamowano ją najgłośniej i najszerzej. Powie mi ktoś, że o tych faktach (tworzenie tajnej „Hitlerjugend", bojkotowanie sklepów polskich, usypianie czujności polskiej administracji, propaganda haseł rasistowskich i hitlerowskiego mistycyzmu nacjonalistycznego, kontakty Niemców z Reichem via Gdańsk itd.) pisały gazety. Owszem, pisały. W miarę zbliżania się do katastrofalnego roku 1939 pisały nawet coraz częściej i śmielej. Lecz czyż sucha notatka i rutyniarskie artykuły w gazetach mają tę samą siłę emocjonalną co utwór artystyczny z odrębnym klimatem, z zajmującą fabułą, z plastyką podpatrzonych życiu figur? Obojętnie rzucę np. okiem na depesze o strajku w szybach naftowych Pensylwanii lub strajku górników w Anglii, ale bliskie staną mi się te sprawy, gdy będą tematem powieści Sinclaira lub Crouina. Mniemam zresztą, że mimo wszystkie alarmy w przedwrześniowej prasie na temat hitleryzmu i Pomorza na krocie mógłbyś policzyć w Polsce naiwniaczków, którzy wzorem pani Bisiewiczowej, damy kresowej, osiadłej w pomorskim Darniowie, tak sobie tłumaczyli schadzki młodych Niemców w pensjonacie: „Mnie nikt nie mówił, co to jest „Deutsches Heim". Musi to być coś w rodzaju izby harcerskiej, czy świetlicy. W takiej izbie ludzie zbierają się, czytają głośno, grają w szachy, śpiewają..." (str. 313).

Oportunizmem, lekkomyślnością, niechęcią spojrzenia prawdzie w oczy grzeszyli nie tylko przedstawiciele reżymowej kliki i tłumy ich bezmyślnych statystów. W przedmowie podkreślają autorzy winę ówczesnych sfer lewicowych i zwolenników Frontu Ludowego, lekceważących niebezpieczeństwo narodowego socjalizmu przed a nawet po dojściu Hitlera do władzy, hołdujących defetyzmowi i pacyfistycznej doktrynie. Wobec takich nastrojów czytano „Deutsches Heim" raczej jako powieść tendencyjnie antyrządową i antysanacyjną. Niebezpieczeństwa hitleryzmu nie doceniano. Obraz stosunków w pomorskim Darniowie uważano więc raczej za pamflet na kacyków sanacyjnych niż za wyraz szczerej ,usprawiedliwionej troski obywatelskiej. Dziś, po przejściu strasznego potopu hitlerowskiego przez Pomorze ten brak właściwej reakcji u krytyków zastanawia podwójnie boleśnie.

W „Deutsches Heim" autorzy, jak wykazało doświadczenie dziejowe, stuprocentowo trafnie ukazali nikczemną rolę autochtoniczną niemczyzny na Pomorzu. W najlepszym razie będą „klaskać przez lufcik" i udawać lojalnych obywateli po to, aby jak piękna pani Trzpilowa, właścicielka fabryki mebli, otrzymywać zlecenia na dostawy rządowe. Nawet ci, których co fanatyczniejsi hitlerowcy posądzają o ugodowość, praktyki masońskie i „zgniły" humanitaryzm, pracują pod osłoną różnych masek na rzecz Berlina. Wszyscy bez wyjątku hołdują ideologii „narodu panów" i żywią w sercu pogardę dla Polaków, choć różnią się stopniem nasilenia tego uczucia. To, co się działo na Pomorzu po wkroczeniu armii niemieckiej, potwierdziło diagnozę Boguszewskiej i Kornackiego co do pomorskich Niemców. Kto przeżył okupację, odnajdzie w postaciach tych wszystkich Trzpil-Tschpilów, Wagnerów, Wenzlów, von Furtke itd. doskonałe prototypy późniejszych „selbstschutzmannów", gestapowców, kreisleiterów, morderców Polaków i Żydów. W świetle doświadczeń okupacyjnych znajdzie również aprobatę czytelnika krytyczne naświetlenie małżeństw mieszanych. Wbrew utartym sądom o atrakcyjnej roli polskości zew krwi niemieckiej ciągnie półgermańskich wilków do teutońskiego lasu (por. postać Ottona Tschpila recte Trzpiela, syna Niemki i Polaka, który tropi za nielegalnym ojcem Niemcem). Tak jest w powieści, tak było — niestety — bardzo, bardzo często w życiu, zwłaszcza gdy na kilka ołowianych lat okupacyjnych „karta się odwróciła".

Osobne studium można by wreszcie napisać o administracyjnej „górze".

„Deutsches Heim" jest drugą częścią wielkiego cyklu powieściowego pod tyt. „Polonez"... częścią prawdziwego roman-fleuve w rodzaju Jules Romains'a, Duhamel'a, Martin du Gard'a z ambicjami ukazania szerokiej panoramy społeczeństwa polskiego w przededniu wojny. Obok urzędowych i emerytowanych figur z „legionu zasłużonych" („raz w lewo, raz w prawo" — stąd zapewne tytuł całości „Polonez), obok potomków komuny paryskiej występują przedstawiciele radykalizmu nowego autoramentu (rodzina Aktylów). Pierwszoplanowe postaci rekrutują się przeważnie z członków b. ziemiańskich rodzin kresowych. Kresowców poznajemy na ważniejszych placówkach administracji państwowej (starostowie Arwaj-Upojeński i Bisiewicz) i w roli osadu, który pozostawia na Pomorzu ten ciąg urzędniczy. Zgodnie z ówczesną opinią niewykazują ci przybysze właściwej orientacji na egzotycznym dla siebie terenie. Starosta Florek Bisiewicz wydaje siostrę za profesora Kriegera, niebezpiecznego kryptoniemca. Jego następca „zaszczyca" swą obecnością polowania u obszarników niemieckich. Stara pani Bisiewiczowa prowadzi pensjonat, który przy jej braku orientacji i ekonomicznej zależności od Niemców staje się wylęgarnią hitlerowskiej zarazy. Panowie urzędują odgórnymi metodami, uważając stanowiska za odskocznię do kariery. Panie z przekąsem i drwinkami wyrażają się o tej „inności", w jakiej im żyć wypadło, i marnie, lekkomyślnie gospodarzą. Oczywiście nie jest to żywioł, który by promieniował w sposób pożądany kulturę polską na Pomorzu. Nie wiem, czy ten wniosek chcą sugerować autorzy powieści. W każdym razie narzuca się on czytelnikowi i przypomina przedwojenne skargi autochtonów na temat nadsyłania nieodpowiednich ludzi.

Zresztą tych autochtonów poznajemy jedynie w postaci Niemców lub shitleryzowanych pół-Niemców. Ktoś nieświadomy rzeczy gotów — na podstawie lektury „Deutsches Heim" — przypuścić, że Pomorze przed wrześniem było zaludnione wyłącznie przez Niemców i garstkę polskich kresowców. Renegat Otto Trzpil oburza się coprawda, że „w tym czerwonym Dorn a niemieckiej cegły mieszka tylko czterdzieści dziewięć niemieckich rodzin, **Polaków kilkanaście tysięcy**", lecz my z tej tysięcznej rzeszy polskich autochtonów nie widzimy żadnego na pierwszym lub nawet drugim planie. Nie słyszymy nic o polskim robotniku i polskim kupcu, o patriotycznej pomorskiej młodzieży, o życiu kulturalnym — nic też o obyczaju i zwyczaju, nic o poglądach politycznych **polskich** Pomorzan... Założenia artystyczne i ideologiczne skłoniły autorów do ukazania nam życia miasteczka w specjalnej perspektywie. Aspekt Boguszewskiej i Kornackiego jest prawdziwy, lecz cząstkowy, fragmentaryczny. Ale i ten aspekt jest ciekawy. Dziś, gdy nad nim się zastanawiamy z historycznego już oddalenia, tak samo jak w owych parnych latach przed wielką dziejową burzą.

Alfred Kowalkowski

Z „WIERSZY GOTYCKICH"

I.

Pieśni powszednie, słowa ziemi,
źródła wytrysłe z głębi lat,
milczący w polu chór kamieni,
żagle rozwiane ku wybrzeżom
i głód w spojrzeniu cichych zwierząt
przeczułem nagle, zanim ślad
mej drogi się na wietrze zatarł —
i trwałem sam — i blisko świata.

Nie w snach, melodiach, nad chmur falą
szukałem siebie, ale w krwi,
gdy kształty dłoni się rozpalą
i już nie ciałem są, lecz żarem
rosnącym ponad ziemską miarę,
który z przestrzeni mroźnej drwi
i płonie oczom w lotnym rytmie
borów i świątyń i w modlitwie.

Oto mój wybór między sercem
a nieboskłonem ciężkich gór.
W ogniu serc przyszłych wzniosłem twierdzę
obronną jasnym łchem przystani,
otwartą wiosnom wszystkich granic,
gdzie z krwi i z mórz powstaje nurt
żarliwych dni bez gwiazd i cienia
powtarzających dzień stworzenia.

I człowiek tutaj jest jak ziarno
nieznanych kwiatów, zbóż i drzew.
Korzenie kłębią się pod darnią
a jeszcze nie wiesz, czy zakwitną
lasem lub mgłą, czy burzą żytnią.
Lecz wam, wschodzącym, ten mój śpiew
przeorał pole już jak lemiesz
a teraz słońcem wstał nad ziemię.

V.

Pod niebem tłum — i skrzydeł powiew —
i przeciw wszystkim ściana zmierzchu
nierozświetlona śmiałym nowiem,
ani uśmiechem niemych dziewcząt
niosących noc na łukach powiek.

I oto pieśń łamiąca mroki
jak chleb, gdy głodni nim się dzielą.
I tłumy płyną w dzień głęboki
przez czas, co ciszy swej się przeląkł.

Otwiera się widnokrąg — prostszy
niźli wiosenny ptaków przylot —
i teraz błękit się rozpostrze
przed mijającą w śpiewie chwilą.

Tak opadają na nas dzieje
drapieżną jawą ciał i wichrów,
aż jeden płomień z nich powieje
na ziemię szeptem zbóż przycichłą,
na brzegi serca i nadziei.

I tak od śmierci wyższy idę
drogami tego pokolenia,
co żyje w pieśni i w dziewczętach.
Pod liści i pod słońc pościgiem
ciemność zapala się w kamieniach,
a miłość nowa jest i święta
w skrzydeł powiewie, w blasku skrzydeł.

XI.

Przemawiaj tylko wysokością,
dzwonami wzlatujących wież,
aby się w tobie dźwięk uprościł
jak promień, który twoje oczy
przebija aż do źródeł łez,
zanim pożarem cię zamroczy
i z tamtej strony barw i wspomnień
cierpieniem będzie mówił o mnie.

I ten jedynie zostaw sobie
w głazach i słowach wierny kształt,
co złączy mostem tak jak grobem
niepełny spojrzeń jeszcze obraz
z przeczuciem bliskich życiu ciał.
Wieczność jest chciwa śmierci. Dobra
tylko jest noc tętniąca ciepłem
w twej twarzy jeszcze niezakrzepłej.

Gdybym zapragnął dzisiaj stworzyć
odległość lżejszą dla twych rąk,
dałbym ci znowu sztorm i morze
i pełną świtu łódź ze żaglem —
jedyny los twój i twój ląd —
abyś mógł wzbić się prądem nagłym
w przestrzeń kipiącą świateł pianą,
znaną jak port, jak dno — nieznaną.

Lecz teraz masz już tę samotność,
z której się rodził tobie świat
i przeniknąłeś żyzną kroplą
w najdalsze z wszystkich oceany,
gdzie rośnie tylko wieków wiatr
nad nurtem sinym i strzaskanym.
I tu, gdzie kości twoje ziębną,
burzą się módl i morską głębią.

Bogdan Zakrzewski

DON KICHOT

Tak nam dobrze i smutno wśród alej
W złotej ciszy brodzić jak dzieci
I odpychać nasz powrót najdalej,
Nim noc czarna wyjdzie naprzeciw.
Liście płoną skrzydłami motyla
I spłoszone w trawie trzepocą.
Coraz trudniej nam głowę pochylać,
Gdy się mamy rozstać przed nocą.
Ty się bronisz uśmiechem jesieni
I zwierzenia zgarniasz w głąb serca,
A tu park resztką słońca się pieni
Wlokąc cienie w zblakłych kobiercach.
Coraz mgła, czy to w oczach, czy w niebie
Złoty tunel zamyka mrokiem...
Czy wiatr w liściach zatapia swój grzebień!
To westchnienie twoje głębokie.

DO...

Dla ciebie słodka złożyłem swe śluby
Wdziawszy kolczugę, która ciało rani
I na podboje dni cierniowych jadę,
Obłędny rycerz szukając swej zguby.
To w twoich szrankach, nieżyjąca pani,
Kruszyłem kopie i szczerbiłem szpadę
Po nocach tocząc z własnym sercem zwadę.
Wiatraki płoche mełły jak skazańcom kraty
I najpiękniejsze wiersze jako swaty
Wiatrom posłałem do twojej krainy.
Wiem, że cię nigdy nie dojdą te pieśni
I żem daremnie całą młodość prześnił.
Lecz w tym jest obłęd tej błazeńskiej duszy.
Marzenia moje ścieżkami błądzące,
Których ni drwina ni zły śmiech nie zgłuszy.

ŁASKA

Skrwawiłem palce o skalistość ziemi,
Gdym perz i chwasty trzebił na ugorze,
By potem ziarno strugami złotemi
Pryskało w miękkie i wygrzane łoże.
W zmierzchu perłowym zdejmując krzyż [z ramion,
Siadałem w ganku z misą pełną mleka
I w ciemnych chmurach Twojej łaski znamion
Szukałem z trwogą słabego człowieka.
Z modlitwy żabiej, z tęsknoty gałęzi,
Co chciały kwieciem rozwiesić się w płotach,
Bóg zerwał wichry trzymane w uwięzi,
Objawił łaskę w budzących się grzmotach.
I gdym rozprężył ramiona jak struny,
Drzewa się chwiały w elastycznym dreszczu.
Mrok złotą wstęgą rozpruły pioruny
I padły pierwsze, ciężkie krople deszczu.

Walerian Lachnitt

WIĘZIEŃ KOSZALINA

Na północnym szlaku handlowym, ciągnącym się wzdłuż wybrzeży morskich, leży Koszalin. Przed pięcioma wiekami był małym miasteczkiem, ale przygoda, która spotkała w nim Bogusława X-go pozwalała wróżyć miastu przyszłość bujną i barwną. W historii tej Koszalin spełnia rolę pomorskiej Abdery, w której mieszkańcy rzekomo nie grzeszyli nadmiarem rozsądku. Dawni obywatele miasta, w zdarzeniu, które opowiem, padli ofiarą nie tyle może głupoty co nieporozumienia.

Szczególne to były czasy. Z dzisiejszymi łączy je silna więź analogii: trudności finansowe.

Bogusław X, największy i najznakomitszy z pięćdziesięciu książąt pomorskich, jakich zna historia, z niemałym wkładem pomysłowości, cierpliwości i rozumu sterował nawą swego księstwa. Główną trudność stanowiły sprawy monetarne. Rozpowszechniły się bowiem pieniądze nie z czystego srebra, nie pełnej wagi i mniejszej niż normalna wartości. Znaczną rolę w tym zarzucaniu Pomorza mniej wartościową monetą odgrywali margrabiowie brandenburscy. Nie bez winy jednak byli również książęta, którzy swe nadszarpnięte finanse ratowali biciem inflacyjnej monety. Kiedy Bogusław X w 1475 roku wstąpił na tron, finanse księstwa przedstawiały się opłakanie. W kasie brakowało pieniedzy na opędzenie najpilniejszych potrzeb utrzymania dworu. Dobra państwowe nie dawały żadnych dochodów. Poprzednicy wielkiego nie tylko wzrostem ale i rozumem księcia rozdali je prawie w całości miastom i klasztorom. Nie pozostawało tedy nic innego jak koczować z całym dworem, z konieczności jak najszczuplejszym, to tu, to ówdzie, wykorzystując odpowiednie punkty przywilejów dotacyjnych mówiące, że obdarowany obowiązany jest tyle to a tyle dni własnym sumptem gościć księcia pana.

Wędrował więc książę wraz z dworem z miasta do miasta, zamku do zamku, w sposób mocno przypominający żywot o żebranym chlebie. Bywało, nieomal wypraszano księcia, pokazując mu przywilej na dowód, że czas obowiązkowej gościny już minął. Gorzej: dworacy księcia niejednokrotnie środków na swe utrzymanie szukali poprostu na szosie. Nie żeby tam one leżały, ale że rabunek jednej czy drugiej karawany kupieckiej w krótkiej drodze wzbogacał, a przyciśnięty trudnościami książę na niejedno musiał patrzeć przez palce, a często gęsto nie tylko jedno ale oba oczy przymykać.

Była wiosna 1480 r., gdy książę w swej nieustającej wędrówce znalazł na czas jakiś gościnę na zamku Adama Podewilsa w Czanowie, w biskupstwie kamieńskim. Jeszcze w czasie podróży dworzanin książęcy Bernd Heydebreck, baczną uwagę zwracał na wzgórze, dominujące nad uczęszczaną drogą wiodącą z Gdańska do miast hanzeatyckich, aż hen ku Hamburgowi. Malownicze stoki Gołej Góry porośnięte były lasem sięgającym aż po skraj drogi, a tak położone, że umożliwiały obserwację ruchu na szosie, skrywając doskonale obserwatora przed okiem podróżnych. Widzimy go teraz na czele gromadki konnych, jak jastrzębie spojrzenie posyła ku wstającym na horyzoncie tumanom kurzu, jakby starał się przebić wzrokiem zasłonę pyłu i ocenić wartość ładunku wozów, których skrzyp słychać już coraz wyraźniej. Dokładnie można już rozróżnić poszczególne postacie, wyraźnie do uszu przyczajonych w zasadzce dochodzi gwar rozmów, okrzyki, strzelanie z biczów.

Na niespodziewających się niczego kupców, omawiających już może rozkosze wypoczynku w pobliskim Koszalinie, wypada garść zbrojnych. Kupcy nawet nie próbują bronić się. Ich krzyk o ratunek pozostaje bez odpowiedzi. Wycie żałości ośmielają się podnieść dopiero wtedy, gdy rozbójnicy, zabrawszy z wozów co się dało, są już daleko...

Z uczuciem świeżej straty i dysząc chęcią zemsty wjeżdżają do Koszalina. Na każdej ulicy, wiodącej ku rynkowi opowiadają swą przygodę, podburzając tłum do odwetu. A że wielu z nich miało tu krewnych lub przynajmniej dobrych znajomych, opowieść znajduje chętnych i współczujących słuchaczy.

Nie może ulegać wątpliwości, że napastnikami byli dworzanie księcia; herszt — postacią i wzrostem żywo samego księcia Bogusława przypominał.

Koszalin uniósł się ambicją i świętym oburzeniem. Postanowiono przykładnie ukarać winowajców. Napróżno co roztropniejsi ostrzegali przed zbyt zdecydowanymi a nie przemyślanymi krokami, rozumiejąc, że choć taki Strzałów czy Szczecin mogły przeciw księciu występować, opierając się na własnych siłach i poparciu Hansy, to przecie mały i słaby Koszalin nie może ryzykować zatargu z panującym. Radzili ostatecznie wysłać petycję do księcia z prośbą o zwrot zrabowanych towarów — ale że rozsądna rada nie tak jest zaraźliwa jak właśnie nierozsądna — daleko więcej posłuchu znajdywali ci, co krzyczeli, że zbójców się wiesza a nie prosi.

Książę ani się nie opatrzył jak gromada mieszczan opanowała zameczek biorąc go w niewolę, wiodąc w triumfie do Koszalina. W mieście tymczasem srogie zapanowało zaniepokojenie, gdy wpadł goniec z wieścią o zwycięstwie nad zbójeckimi rycerzami. A gdy na jaw wyszły szczegóły, że samego księcia, którego tylko Podewils od śmierci pod halabardą koszalińskiego kowala ocalił, — wiozą do miasta wozem do wywożenia gnoju — uczucie triumfu i radości ustąpiło całkiem miejsca trosce i przerażeniu, co z tego spostponowania godności książęcej wyniknie.

Rada miasta postanowiła niezwłocznie uwolnić księcia, uniewinniając się i prosząc by nie winił mieszczan za obrazę — lecz pospólstwo grodowe. Dano mu nawet dom osobny i dogadzać starano się, obdarowując hojnie i prosząc, by nie uważał się za więźnia. Ale książę poznawszy, że mu żadna poważniejsza i dłuższa utrata wolności nie grozi, że incydent ma charakter nie formalnego buntu miasta lecz wybryku gawiedzi, postanowił moment ten wykorzystać nie tylko dla podniesienia swej powagi ale i podreperowania finansów.

Oświadczył tedy, że nie skorzysta z wolności, a przeciwnie więźniem pozostać pragnie tak długo, aż się inne miasta o zniewagę godności książęcej zbrojnie upomną. Teraz już rada Koszalina zupełnie potraciła głowy. Próbowano księcia przebłagać trzema tysiącami dukatów. Na to czekał książę. Gdy w dodatku miasto złożyło zapewnienie, że wystawi 200 konnych do dyspozycji księcia, pozwolił się łaskawie uwolnić. Gdy dodano do tych przebłagalnych darów jeszcze dwieście dukatów dla małżonki księcia, surowość powoli opuszczać go zaczęła i rozpogadzała się twarz Bogusława. Potrafił chytrze nie tylko opanować sytuację, ale i z na pozór całkiem dla siebie niekorzystnych warunków wywinąć się jeszcze z zyskiem tak ważnym dla swej pustej kasy.

Mieszkańcy Koszalina przyrzekli nadto jako pokutę zburzyć bramę przez którą książę w tak niesławny sposób został wprowadzony do miasta, a w dniu, w którym zechce miastu przebaczyć, cała ludność wraz z duchowieństwem wylegnie za miasto z chorągwiami by upaść przed nim na kolana.

Nawet w tej wesołej raczej przygodzie okazał się książę Bogusław X godnym swego późniejszego przydomka. Mógł powtórzyć za nauczycielem książąt Machiavellim jego słowa, że gdy nie można być lwem trzeba być lisem.

Śmiała się potem historia z niefortunnego najazdu mieszkańców Koszalina. Zamiast zwrotu — jeszcze dopłacić musieli do zrabowanych towarów. Nikt pewnie nie miał tylu i tak różnorodnych przygód w czasie swego panowania jak Bogusław X, ale też pewnie ta przygoda księcia w koszalińskiej niewoli ze wszystkich jest najzabawniejsza.

Bolesław Srocki

DOKOŁA OBŁUDNEGO SFINKSA

NA MARGINESIE KSIĄŻKI „NIEMCY ROZGROMIONE?“ *)

Egzotyka przestała być przywilejem pozaeuropejskich lądów. Przez niegościnne pustynie Australii włóczą się cienie lśniących samolotów. U legendarnych źródeł Nilu w czasie ostatniej wojny tysiące emigrantów różnych krajów, w tej liczbie i Polski, szukały stosunkowo bezpiecznej i spokojnej przystani, jako ucieczki przed grozą europejskiego barbarzyństwa.

Nie znaczy to jednak, by już nigdzie nie było miejsca dla rozwiązywania zagadek tajemniczych obszarów. Przykładem są chociażby dzisiejsze Niemcy. Obraz ich w pojęciu najbliższych nawet sąsiadów kształtuje się dziś bardziej na podstawie legend, niż faktów, jak niegdyś obraz górnych dorzeczy Konga, czy Amazonki. Oczywiście, źródłem trudności nie jest tutaj izolacja bezwzględna, ani brak zainteresowania. Przeciwnie, co dzień powracają stamtąd setki i tysiące ludzi, pisze się o Niemczech bardzo dużo. Źródłem niewiedzy jest natomiast brak informacji dostatecznie pewnych i autorytatywnych, wewnętrzny chaos dążeń, względność sądów i pojęć, brak określonych sprawdzianów, trudność racjonalnej syntezy, przede wszystkim zaś mistrzowska zdolność społeczeństwa niemieckiego do przyjmowania barwy ochronnej, zacierania granicy między rzeczywistością i pozorami.

Omawiana tu książka trzech autorów poznańskich jest próbą dokonania wyłomu w murze naszej niewiedzy. Powiedzmy od razu, mimo nieuniknionych w danych warunkach braków, próba udana, rodzajem publicystycznej encyklopedii, wszechstronnie

*) Na marginesie książki zbiorowej (B. Danielewski, J. Kolipiński, A. Rogalski) „Niemcy rozgromione?“ Wydawnictwo Zachodnie. Poznań. Str. 328.

LUDOMIŁA LANŻANKA
PRZY SIECIACH AKWATINTA

przedstawiającej obraz politycznego, gospodarczego i kulturalnego stanu, zarys życia i tendencji Niemiec, pokonanych militarnie, lecz o nieznanym jeszcze stopniu politycznego rozgromu.

Książka składa się z trzech części**) i kilkudziesięciu rozdziałów - artykułów, z których każdy jest jak gdyby encyklopedycznym przedstawieniem jakiegoś zagadnienia. Obraz w ten sposób zarysowany jest bogaty, choć niezupełnie pełny. Znajdziemy tu zarówno duży materiał cyfrowy, jak próbę sięgnięcia do psychiki poszczególnych kół dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego, przedstawienie układu wewnętrznych stosunków politycznych, metody rządzenia czterech okupujących mocarstw, stan stosunków gospodarczych i kulturalnych, bilans osiągniętych w ciągu roku ubiegłego rezultatów, wreszcie zarys ukrytych i wybijających się na powierzchnię tendencyj i tęsknot.

Cechą książek o encyklopedycznym charakterze jest to, że można je omawiać — streszczać nie sposób. To też szczegółowe przedstawienie w streszczeniu zawartego w książce materiału faktycznego jest niemożliwe.

Z punktu widzenia metody naukowej w odniesieniu do informacyjnej roli książki można mieć nieco zastrzeżeń. Bogactwu materiału nie zawsze odpowiada stopień treściowego opracowania, selekcji i usystematyzowania. Podobnie nieco do życzenia pozostawia dokumentacja. Przy powoływaniu się na głosy, fakty i cyfry często brak źródła informacji, co utrudnia, jeśli nie uniemożliwia, próby dotarcia do materiału źródłowego w jego bezpośrednim, pierwotnym i pełnym kształcie. Lecz są to braki nieuniknione w tego rodzaju szybko przygotowywanych wydawnictwach. Autorowie dobrze sobie z nich zdawali sprawę i stąd zapewne płynie kończące przedmowę westchnienie do momentu ukazania się następnej pracy o Niemczech dzisiejszych.

Rzeczą najistotniejszą, z punktu widzenia jeśli nie poszukującego materiału specjalisty, to przeciętnego czytelnika, są wnioski. Tutaj postawa Autorów jest wyraźna i podkreślona wielokrotnie. Książka „świadomie unika wyciągania wniosków...“ „Niech przemawiają fakty, których tłem jest znana przeszłość“.

Fakty te jednak mówią dość wyraźnie. To też cały szereg sformułowań Autorów, niezależnie od intencji, przybiera charakter gotowych wniosków.

Wnioskami tego typu są liczne stwierdzenia faktów, wykazujących jak przez zewnętrzną pokrywę odnienej, „demokratycznej“, frazeologii przebija „zasadniczy nurt dziejów niemieckich“, jak pod pojęciem gospodarczej, czy kulturalnej „odbudowy“ kryje się tęsknota do momentu, w którym pojęciem tym będzie można objąć również „odbudowę“ politycznej potęgi wielkich i jednolitych Niemiec, aż po ponowny zachłyst upajającymi słowami hymnu „Deutschland, Deutschland über alles“. Czyż nie jest wnioskiem cytat z ostatniego listu Hitlera do Keitla, wykreślający przyszłe linie narodu niemieckiego w słowach: „Musimy odbudować siły narodu niemieckiego... Musimy odzyskać ziemie na wschodzie“ — gdy równocześnie bezpośrednia obserwacja nastrojów i faktów prowadzi do konstatacji: „Ten program, ten testament próbuje się już realizować przez budowanie dla niego podstaw. Czynią to wszyscy Niemcy. Najlepszym dowodem głośny list biskupa Conrada?“

Czyż nie jest wnioskiem samo przez się obszerne streszczenie wspomnianego wyżej listu, w którym — jako przykład uderzającego zupełnie braku wszelkich zdolności realnej samooceny, tak charakterystycznej dla narodu niemieckiego — znajdziemy skargę nie tylko już na rzekome barbarzyństwo, lecz na „niewdzięczność“ Polaków w stosunku do ich niemieckich nauczycieli chrześcijańskiej kultury, wiary i miłości?

Czy nie jest wnioskiem wyraźnym i skrystalizowanym analiza, wykazująca jak na dnie procesów demokratyzacji niemieckiej leży poczucie raczej krzywdy, niż winy, jak uzasadnieniem manifestowanej niechęci do Hitlera jest nie suma wyrządzonego światu zła, nie głęboka amoralność narodowego socjalizmu, lecz raczej tylko fakt szkód wyrządzonych narodowi niemieckiemu przez wywołanie wojny, której wygrać nie potrafił?

I tak dalej! — Wbrew intencjom, a przynajmniej twierdzeniom autorów, książka ich zawiera szereg wniosków. Wnioski te są raczej charakteru negatywnego. Ilustrują trudność istotnie pozytywnego rozwiązania problemu niemieckiego po obecnej wojnie przez ich wciągnięcie do zgodnej współpracy ożywionych duchem humanistycznego uniwersalizmu wolnych państw i narodów Europy.

Wnioski te są nieostateczne.. W zakończeniu książki autorzy dają temu wyraz, pisząc: „Najbliższa przyszłość Niemiec rysuje nam się w świetle zgromadzonych i napływających nieustannie wiadomości o tym kraju bardzo niejasno i chaotycznie. Głębokie przewroty i wstrząsy wydają się tam nieuniknione. Nie jest wyłączone, że Niemcy doznają jeszcze wielu nędz i wielu nieszczęść. Kapitulacja ich oszołomiła, ale na samo dno niedoli bynajmniej ich nie zrzuciła. I dlatego one są w istocie takie, jakie były za Hitlera. Duch ich zmieni się może dopiero później“.

Czy się zmieni ?— W zakresie psychologii narodów i stosunków między narodami nie można istotnie stawiać twierdzeń o charakterze dogmatów. Gdyby przed 250 laty w ówczesnej Europie dyskutowano na temat pokojowej organizacji współpracy międzynarodowej, niewątpliwie jako najważniejsze przeszkody widzianoby: 1. religijny imperializm Islamu, 2. wikingowską, zdobywczą psychikę Szwedów. Dzisiaj sytuacja wygląda zupełnie inaczej.

Czy możliwa jest głęboka wewnętrzna przemiana narodu niemieckiego? — Materiały zgromadzone w książce „Niemcy rozgromione?“, podobnie jak wszystkie inne obserwacje i materiały, nakazują najdalej idący sceptycyzm i ostrożność.

Niemcy dzisiejsze mogą być porównane do sfinksa. — Sfinks ten już samą swoją budową silnie różni się od mitologicznego. — Nie w tendencji złośliwej szykany, lecz w celu zbliżenia do rzeczywistości, tak jak się ona zarysowała w ostatnich trzydziestu latach, można by zaryzykować twierdzenie, iż byłby to stwór raczej o tułowiu owcy i paszczy krokodyla. Co w dalszym ciągu ewolucji psychicznej tego narodu zwycięży: owcza łagodność i „gemütlichkeit“, czy żarłoczna krwiożerczość krokodyla — całkowicie pewnie przewidzieć nie sposób. W każdym jednak razie rzeczą rozsądniejszą i bezpieczniejszą jest zachowanie tego rodzaju postawy i czujności, jaka właściwa jest w stosunku do krokodyla, nie zaś łagodnego baranka.

Rozwiązanie zagadek tego nowoczesnego sfinksa jest rzeczą niewdzięczną. Sfinks ten sam niewątpliwie nie zna kierunku własnej ewolucji, podobnie jak owczy tułów szczerze zda się nie znać i nie rozumieć krwiożerczej złośliwości własnej paszczy. A równocześnie sfinks ten jest mistrzem obłudy. Na każdy zarzut krokodylich zbrodni odpowiada z pozornie bezgraniczną szczerością oburzenia przez wyciągnięcie wprzód owczej łapy. W charakterystycznym tradycyjnym automatyźmie ruchów tej łapy przebija jednak dziś, podobnie jak przed dwudziestu laty, wyraźne, często być może nieświadome, posłuszeństwo instynktom i dyrektywom krokodylego mózgu. Książka trzech autorów poznańskich, na podstawie zgromadzonego materiału, potwierdza to dostatecznie wyraźnie.

**) Bohdan Danielewski: Profil polityczny współczesnych Niemiec (str. 15 — 118), Julian Kolipiński: Życie gospodarcze w rok po klęsce, (str. 121 — 226), Aleksander Rogalski: Kultura i Wychowanie (str. 229 — 322).

Andrzej Bukowski

OSTATNI Z TRÓJCY MŁODOKASZUBSKIEJ

Gdy wybuchła wojna, wziął kij i szedł, ale dokąd — nikt nie wie...

Taką informację otrzymałem od rodziny, gdym niedawno zapytał o los Leona Heyke'go.

Później na podstawie innych źródeł udało się stwierdzić, że z Kościerzyny wyszedł w kierunku południowym, w głąb kraju, w nadziei, że tam zdoła uchronić się przed wrogiem. Doszedł jednakże tylko do Wdy w powiecie strogardzkim. bo, wycieńczony i niezdolny do dalszej drogi, siadł, mówiąc zrezygnowany:

— Dalej iść nie mogę, niech się stanie co chce...

Tutaj dopadli go siepacze hitlerowscy, zabrali do Starogardu i zamknęli w więzieniu. Teraz rozpoczęła się kilkutygodniowa gehenna. To, co wycierpiał, trudne jest do wyrażenia. Z udręką moralną łączyły się

tortury fizyczne. Męczony, bity, głodzony — był ledwie podobny do człowieka. Jedynie w oczach tlił niezłamany dawny duch...

Rankiem 16 października przed mury więzienne zajechał ciężarowy samochód. Kazano mu wejść. Gdy z wielkim trudem to uczynił, znalazł się wśród trzydziestu towarzyszy-straceńców, którymi byli wyłącznie księża — tak jak on.

W lesie szpęgawskim przy szosie, prowadzącej ze Starogardu do Tczewa, samochód się zatrzymał. Tutaj nastąpiła egzekucja. Zwłoki podziurawione kulami zepchnięto do wspólnej mogiły.

Czy tam do tej pory spoczywają, nikt nie stwierdził...

✶

Na kilka miesięcy przed swoim nieoczekiwanym, tragicznym zgonem ks. dr Leon Heyke przysłał mi obszerny życiorys, o który prosiłem, przygotowując pracę na temat ruchu młodokaszubskiego. Ten życiorys szczęśliwie ocalał i jest, jak sądzę, jedynym tego rodzaju dokumentem, jaki Heyke po sobie zostawił. Dlatego w całości go tutaj przytaczam, co czynię tym chętniej, że wprowadza nie tylko w życie ale i w psychikę tego poety i pisarza kaszubskiego.

Urodziłem się 10 października 1885 r. w Cierzni w pow. morskim. Klon i jodła szumiały nad moją kolebką. Rodzice Ferdynand i Anna w chwilach wolnych od zajęć gospodarczych uczyli mnie języka polskiego na podstawie polsko-niemieckiego podręcznika szkolnego, którego za ich czasów używano w pomorskich szkołach ludowych. Niezapomniane są mi wieczory, kiedy sąsiedzi przychodzili na pogawędkę. Mówiono o sprawach bieżących, mówiono o Cejnowie i kaszubszczyźnie, o Kościuszce i dziejach polskich, opowiadano sobie baśnie i podania, grano na harmonice i śpiewano. Ojciec niekiedy popisywał się grą na listku, matka umiała zaśpiewać wiele pieśni i choranek.

Uczęszczałem do szkoły w Bieszkowicach, potem do gimnazjum w Wejherowie. Przez 3 lata uczono tam jeszcze nadobowiązkowo języka polskiego. Nauczycielami moimi byli prof. Lange i Karabasz, zwłaszcza ostatni wielki kładł nacisk na znajomość romantycznej literatury polskiej. W r. 1900 zmieniono naukę języka polskiego, uzasadniając to tym, że w gimnazjum nie ma Polaków, lecz są tylko Kaszubi. Byłem wówczas w niższej tercji. Przyszedł do klasy dyrektor, przez nas zresztą wysoko ceniony i badał: „Twój język ojczysty?" Polski. „Zaraz to zobaczymy". Jak się nazywa Brot po polsku?" Chleb. „Nie. A jak Bier?" Piwo. „Nie. Źle wymawiacie. Mówicie narzeczem kaszubskim. Po polsku mówi się „kleb" i „pywo". Stwierdzam, że w klasie tu nie ma polskich uczniów, więc od jutra skreśla się nadliczbową naukę polską".

Język niemiecki sprawiał mi bardzo wiele trudności. Zwykłem tłumaczyć z mowy kaszubskiej zwroty niemieckie i tak dochodziłem często w wypracowaniach niemieckich do stylistycznych nieznośności. W domu bowiem mówiło się tylko po kaszubsku, z kolegami szkolnymi znowu mówiło się po kaszubsku, dlatego nieustannie nam wytykano, że wymawiamy twardo i nieteutońsko. Język niemiecki przyswoiłem sobie doskonale dopiero, gdy byłem w Gdańsku na placówce duszpasterskiej. Maturę zdałem r. 1906 i wyższe studia teologiczne odbywałem w Pelplinie, Fryburgu i Wrocławiu. Obok studiów zawodowych zajmowałem się nieustannie kaszubologią, zwłaszcza we Wrocławiu, gdzie najserdeczniejszą zawarłem przyjaźń z J. Karnowskim, z którym wspólnie omawiałem sprawy bieżące z dziedziny literatury kaszubskiej. We Wrocławiu odwiedził nas dr Majkowski.

Wikarym byłem w Lignowach, Lubawie, Gdańsku, Chojnicach, Kościerzynie, Chmielnie, Wygodzie i Kartuzach. Z Kościerzyny objechałem przed wojną europejską własnym samochodem teren kaszubski, zwiedzając wszystkie ciekawsze historyczne miejsca i zabytki, zbierając miejscowe baśnie i podania, rozmawiając z ludźmi na temat spraw kaszubsko-polskich, opowiadając tu i tam ciekawie słuchającym wyjątki z regionalnych dziejów pomorskich. Byłem w największym rozpędzie, wtedy wojna przerwała plany i podróże. Przeżycia tych wypraw kaszubologicznych złożyłem później, gdy chory leczyłem się w Chmielnie, w licznych chorankach wielkiej ballady zatytułowanej: „Dobrogost i Mjiłosława". Całość jeszcze się nie ukazała. W r. 1920 objąłem w Kościerzynie stanowisko prefekta przy państwowym seminarium nauczycielskim. po którego zlikwidowaniu w r. 1935 przeszedłem jako katecheta do gimnazjum im. Józefa Wybickiego.

W czasie wolnym od zajęć zawodowych głównie zajmuję się ulubionym przedmiotem: kaszubszczyzną, porządkując nagromadzone materiały, wypełniając wyrwy dodatkowymi badaniami, wydając w miarę możności i sposobności „spjewe, chorankji i szałobojkji". Dość często byłem zawikłany w gorący spór o „regionalizm kaszubski", który to słabo orientujący się, lekkomyślnie powierzchowni grafomani obrzucali błotem, podejrzeniem, dzielnicowością i nawet, co bywa ostatnim ich atutem i obelgą najsilniejszą, separatyzmem. Jeden jest tu na Kaszubach tylko separatyzm odrywający się jak dawniej tak i dzisiaj od t. zw. „kulturników i argonautów". Rękę do współpracy podajemy każdemu, kto serdecznie kocha region kaszubski i szczerze służy Państwu Polskiemu.

Już na ławie szkolnej zajmowałem się kaszubszczyzną, leżało to zagadnienie w powietrzu. Często je poruszano w literaturze niemieckiej. Mówiono nam, że gwara nie jest gorsza od języka literackiego. Pisywałem już wtedy listy kaszubskie. Ale wielkie trudności nastręczała pisownia, nie można bowiem było oddać wszystkich zachodzących dźwięków językowych. Wzorowałem się z początku na języku hiszpańskim, mającym podobne dwugłoski jak mowa kaszubska. W tej pisowni zacząłem wydawać „piesni północny", które przez redakcję „Gryfa" nie znającą wcale gwar północnych, zostały często zniekształcone i mylnie przepisane. Gryf przedstawiał kaszubszczyznę południową, dlatego może mnie nie zaproszono na zjazd ortograficzny do Kościerzyny i stąd to poszło, że jednostronne ubijanie kaszubskiej pisowni nie doprowadziło do jednolitości. Gdy stosowano pisownię polską, mówiono lekceważąco: zepsuta polszczyzna, gdy zaś pisano jak Cejnowa, krakano złowrogo: separatyzm. Pisownia obecnie przeze mnie przyjęta może najlepiej rozwiązuje sprawę.

Wspomnienia swoje złożyłem częściowo w innych już znanych artykułach, więc nie będę się tu powtarzał, podam teraz jeszcze tylko szkic ideologii swej kaszubskiej, którą sobie wyrobiłem już na ławie szkolnej i której dotychczas nie potrzebowałem zmieniać. Jak ongi w Helladzie język grecki rozpadał się na dialekty: joński, ateński i dorycki, tak w słowiańskiej Lechii również były 3 narzecza: polskie, pomorskie i połabskie. Do zaginionego połabskiego najwięcej podobne jest narzecze luzińskie, do dawniejszego pomorskiego z czasów ks. Świętopełka obecne południowo-kaszubskie. Kaszubi nie są osobnym narodem, lecz tylko szczepem narodu lechickiego, którego szczepem są i dzisiejsi Polacy. Znaczenie wyrazu „lechicki" przeszło z czasem na wyraz obecny „polski", więc Połabianie, Pomorzanie i Polacy należą do tego samego narodu polskiego.

Podczas swych objazdów po Kaszubach stosowałem hasło: „Mów po polsku albo po kaszubsku, jeśli to łatwiej ci przychodzi, kaszubszczyzna bowiem nie jest gorsza od polszczyzny i tak samo zdolna do wyrażenia najsubtelniejszych uczuć i myśli". Przeważnie mówiłem po kaszubsku, zwłaszcza w stronach północnych, gdzie sposób wymowy i akcentu ułatwiał zrozumienie i zaufanie. W kołach inteligencji mówiło się po polsku. Nawet z Majkowskim i Karnowskim nigdy jeszcze nie przeprowadziłem rozmowy tylko po kaszubsku. Piszę chętnie po kaszubsku dlatego, że w kaszubszczyźnie nie zawodzi mnie poczucie językowe i bez obawy popełnienia błędu mogę wodze puszczać podświadomości językowej. Gdy się z kaszubszczyzny wyrazy transponuje na język polski, polsko-kaszubskie te zwroty rażą niektóre polskie uszy, przyzwyczajone do swej polskiej jednojęzykowości.

Był czas, jak wykazują zbiory w tece, że pisałem po polsku, naginając słowa kaszubskie do głosowni polskiej, pisząc, jak Pontanus, np. zamiast: me jesme tam bele, my jeśmy tam byli; wa jesta tego niewidzała, wa jeśta tego nie widziała, ale nie mogłem się do tego sposobu przyzwyczaić, gdyż swoboda ruchów jest mocno krępowana usilną uwagą na dobre zastosowanie odpowiednich samogłosek i odmiennego akcentu. Po nieudałej tej próbie powróciłem do zasady: Pisz tak, jak wymawiasz, uwzględniając w pisowni wyraźnie tylko wspólne wszystkim gwarom brzmienia samogłoskowe!

Na tym zdaniu zamykam wspomnienia swe kaszubologiczne".

✶

Leon Heyke wyrósł w kręgu „Gryfa", to jest tego pisma, które w r. 1908 zapoczątkowało szerszy ruch regionalny na Kaszubach i było organem grupy literackiej „Młodokaszubów". Przodował temu ruchowi Aleksander Majkowski, główną jego podporę stanowił Jan Karnowski (Wóś Budzysz), Heyke zaś tworzył trzecią z kolei wybitną indywidualność.

Wystąpił on po raz pierwszy jako poeta w latach 1911—1912, kiedy pod pseudonimem „Czernickiego" ogłosił w „Gryfie" cykl krótkich poezyj p. t. „Piesni północny". Nadał im taką właśnie nazwę, chcąc nią zaakcentować swoją nowość w stosunku do pisarzy z „Gryfa", dotychczas reprezentującego wyłącznie południową kaszubszczyznę, nowość, polegającą — poza pierwiastkami folklorystycznymi — na odmiennej wymowie, ruchomym akcencie i innym we wielu wypadkach słownictwie.

„Piesni północny", poprawione i rozszerzone, weszły później do zbioru p. t. „Kaszëbskji Spiewe". Heyke-Czernicki pokazuje się nam tutaj jako liryk. Wyrósłszy na wsi, najżywiej odczuwa najpierw przyrodę: Obserwuje i podziwia piękno świtania, poranku, nocnej ciszy, piękno budzącej się wiosny. Nie lubi jesieni, kiedy „dzeń je komudny" a „doka" świat osłania — wtedy chodzi smutny jakby we śnie. Żywioł morza pociąga go i odstrasza równocześnie:

„Jo wcygnął czołno na muerze,
A wiater letkue wioł,
To jazda! Ueda sę puerze,
A jo so spiewoł a smioł...

Wtem blasknie w daly na niebie
Uegnisty jakis miecz;
A strach mie chwocy za serce:
„Ach, kie-be jo beł stąd precz.

Wtym trzasł ju gróm sarcesty,
A wielgi łcskuet sę stoł;
A wszędze wkół buyrguece
Tak jak-be z uczem chtos gnoł..."

(„Muersko burza", Gryf 1912)

Przywiązanie do ziemi ojczystej najdobitniej poeta wyraża w wierszu p. t. „Swiat kaszebski":

W jinych krajach miły żecy,
Luby wonio wiosne kwiat,
Ach tam nieje moji becy,
Bo to mie je cezy swiat.

„W naszym kraju moji becy,
W naszy łace mój je kwiat;
Tu mie rosce słodki żecy,
Mój kaszebski mały swiat.

Tu je moja moc i chwała,
Mego serca swięty dzel;
W jego służbie jo sę trawię
Zdrzące w jego wielgi cel.

Następnym ogniwem w przeżyciach poety jest miłość, która w latach pierwszej młodości ogarnęła go gorącym płomieniem i — być może — wyzwoliła w nim ukryty talent, boć pisze w jednym z utworów:

W mie serce zadergało
I prysnął spiewu zdrój...

Nic dziwnego przeto, że „Spiew miłosny" stanowi główną zawartość wspomnianego tomiku. Trawiony żarem i szukając wyrazu dla swych odczuć i nastrojów, poeta dobywa ze swej duszy całą skalę tonów od jasnych i radosnych poczynając, na mollowych kończąc. Swą Aneczkę nazywa pieszczotliwie „Miluszynką" i „Malulinką". Gdy szczęście mu pierś rozpiera, ma słońce w sercu, a z rozkoszy „chce uukochac cały swiat, chce nieszczesnego wezwolec uod uudręki tesknëch lat". W takim nastroju ogląda swoją szczęśliwą przyszłość:

Ach, to bądze roj na zemi,
Słodki roj na wieczny czas.

Przychodzi jednak nienasycenie i tęsknota:

Co dzeń jo cebie widzoł,
A jednak nigde dosc,
I twego jo uogródku
Beł nieuodstępny gosc.

Jo wanożę po lese
I wicher muszy wioc,
Jo lotaję po polu,
Jaż cemno spadnie noc.

Przed uokiem jo cę widzę
I jo cę gonię wstec,
A może jo nieborok
Ju taki muszę bec.

I jo na kuńcu stracę
Swój rozem i swój mir
I nic mie nie uobchodzy
Ju tego czasu tyr!

Tymczasem „zawistny los" wbija w „luby związk" klin rozłąki:

Te zdrzysz mie tak teskno w uecze,
Te szepczesz do uucha mie cos:
Ni może to bec na wieki,
Mój tego nie chce los.
— — — — — — — —
Ten swiat je tak uokrutny,
Uon serce moji zwiód
I słodki my kochani
Bez miłoserdzo zgniót.

Przychodzi wreszcie bolesne pożegnanie, któremu towarzyszy ta jedyna pociecha, że połączenie nastąpi w niebie.

We wszystkich tych lirykach zadziwia nadzwyczajna prostota. Ideałem poety jest tutaj forma piosenki ludowej. Widać to wyraźnie w takich np. wersetach:

Zemny wieczor, pseska wyją,
W sercu mojim ból;
Łze ten swiat mie zacemniają,
W uoku gorzka sól.
— — — — — — — — —
Szamotny wiew na górze
Szeroką jabłoń gnie,
Jo pozdrzę i jo weschnę
I smutk przegibo mie.

Twarda, pokaleczona, wydrwiwana mowa kaszubska, zdawałoby się, niezdolna jest do wyrażenia miękkich, czułych, delikatnych, subtelnych uczuć. Tymczasem Heyke potrafi w niej wypowiedzieć wszystko, co czuje, czyni zaś to bez cienia wymuszoności, sztuczności, przesady i bez fałszu. Jest prosty i naturalny. Stąd liryki jego posiadają przykuwający powab. Przed Heyką erotykę pisał i Derdowski, i Majkowski, i Budzysz, lecz ani u nich, ani u nikogo z młodszych muza kaszubska nie zajaśniała w zakresie liryki miłosnej równym, jak u Heykego, bogactwem i pięknem wyrazu.

Trzecim ogniwem w rozwoju jego twórczości jest „spiew dzejowy", to jest poezja patriotyczna i historyczna. „Urodzony w niewoli, okuty w powiciu", Heyke żywo odczuwał los swego kraju i swych braci, gnębionych przez wroga. Pisze w tym okresie:

Był smutny czas i cemno noc,
Gnębiła nas czartowska moc,
Zaklęty był nasz dóm i próg,
Uu bróm stróżował srogi wróg. —
W uokowach skut
Pomorski lud
Przejiscył swego betu czas,
Nodzeje parmin znik i zgas.

Gdy zaś w r. 1920 przyszła swoboda, wita ją z żywiołową radością:

Ju mijo noc i swito dzeń,
Przed jasnym słuńcem pirzchno ceń;
I stoł sę cud,
Pomorski lud
Uo swym zabywo zmornym snie
I mocno se do żeco rwie.
— — — — — — — — —
Pomorski Gryf i Uorzeł Biały
Potężnie płeną ponad las
I nowy w dzejach jidze czas
Swobode, szczesco, tcze niemoły;
Hej, Gryfie, hej!
I lsni sę kwietny roj,
Pomorski moj!

Od bieżących przeżyć dziejowych myśl poety przenosi się w przeszłość. Historia jest zawsze dopełnieniem współczesności i fundamentem gmachu przyszłości. Kiedy w młodzieńczych latach poeta „wanoży" po ziemi kaszubskiej, spod każdego niemal kroku odzywa mu się echo dawnych czasów. Wsłuchuje się w nie pilnie, a zachęcony tajemniczym ich urokiem i pobrzmiewającą w nich wielkością, zagłębia się później w dzieła historyczne, aby jak najwięcej poznać i przeżyć. Rozrzesza mu się w ten sposób jego świat kaszubski i jego osobowość poetycka. Najwięcej zaś pociąga go wspaniały okres panowania Świętopełka, największego z książąt pomorskich.

Owocem tych „wanożeń" i tych studiów jest dzieło poetyckie, zakrojone na szeroką skalę, pt. „Dobrogost i Miłosława". Jednakże nieżyczliwy los zaciążył nad tym utworem, nie ukazał się on bowiem w całości w druku. Cz. I pt. „Miłosława" drukowana była w latach 1923—25 w „Pomorzu" cz. II pt. „Wojewoda" w wydaniu książkowym ukazała się w r. 1928, cz. III zaś pt. „I sę stało" drukowała się odcinkami w „Gryfie" w latach 1931—1933 i w „Kaszubach" w l. 1938—1939. Brak jest końca i prologu, trudno dziś osiągalna jest także cz. I. W tym stanie rzeczy nie można się kusić na pełną ocenę tego dzieła. Opinia o poszczególnych częściach wywołała nieporozumienia między autorem a krytykami. Przykładano bowiem do utworu Heykego zwykłą miarę epicką. Tymczasem poeta tak ujmuje istotę swego dzieła:

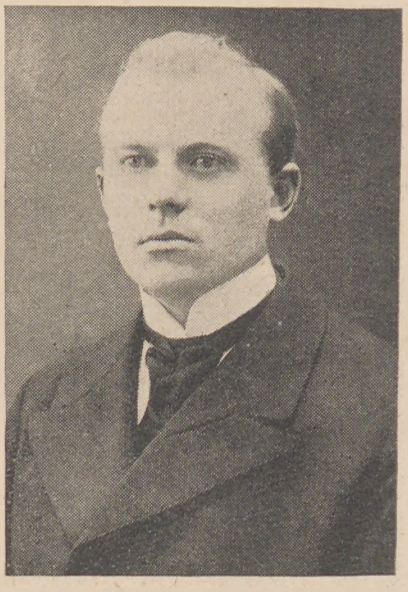

„Dobrogost i Miłosława" jest pomyślane jako opowiadanie nowożytnego człowieka... Dlatego nie archaizuję, nie rymuję i korzystam w całej pełni z kaszubskiej techniki opowiadania. Przemyślny Kaszuba opowiada po pracy o przygodach; do różnorakich zdarzeń prawdziwych dokłamie ci przynajmniej połowę a wszystko prawdopodobne. — „Mowa Kaszubska jest prędka, skoczna i żwawa". — Zadanie sobie utrudniałem. Nie jestem Homerem ani nawet epikiem, lecz tylko „balladystą", któremu nie chodzi o epiczny opis, lecz jedynie o wytworzenie zachwytu, nastroju, uwielbienia, etc. Cała epopea chce być jedną wielką balladą czy romancą czy czymś pośrednim. Jest synteza różnych poglądów i technik poetyckich, synteza budowana na t. zw. prawie kojarzenia. Oto mój cel, dzieło mające swoją własną tylko miarę. Chodziło mi o nowoczesny typ epopei..." (List do Karnowskiego z 5. 5. 1933).

Wątek tej epopei snuje się na tle licznych i uporczywych zmagań pomorsko-krzyżackich za czasów bohaterskiego Świętopełka, przy czym główna postać, Dobrogost, urasta tu do ideału rycerza pomorskiego, jego żona zaś, Miłosława, — do ideału kobiety pomorskiej. W tok opowiadania autor wplata raz po raz jakąś legendę, baśń, wydarzenie niezwykłe, szczegół historyczny, opis obyczajów i przyrody, itp., tak, że „Dobrogost i Miłosława" przedstawia się nam w sumie jako rozległa i bogata panorama Pomorza w 13-tym stuleciu, oglądana i przeżywana przez człowieka współczesnego. Ze względu na niewątpliwe walory tego dzieła wydaje się rzeczą ze wszech miar pożądaną, ażeby ukazało się nanowo w wydaniu książkowym.

W ścisłym związku z powyższą pracą znajdują się „Podania kaszubskie", które Heyke pod pseud. Stan. Czernickiego wydał w roku 1931. Wiadomo, że skarbnica podań i legend kaszubskich należy do najbogatszych w Polsce. Nikt jednak poza Zuzanną Rabską nie opracował ich artystycznie. Heyke uczynił w tym zakresie drugą próbę, zebrał mianowicie i opracował podania, związane z miastami kaszubskimi: Kościerzyną, Puckiem, Bytowem, Lęborkiem, Kartuzami, Wejherowem i Gdańskiem. Dzięki przystępnej gwarze stanowią te opowiadania ciekawą i pożyteczną lekturę dla każdego Polaka. Jest to jedyna obszerniejsza rzecz Heykego, napisana prozą.

Wreszcie czwarte i ostatnie ogniwo jego twórczości prowadzi nas na scenę. W końcowym okresie swego życia Heyke zajął się dramatem, przy czym upodobał sobie oryginalny rodzaj literacki, mianowicie t. zw. „szołobułkę", t. j. udramatyzowaną anegdotę, zbliżoną do farsy. Ogłosił drukiem dwie takie „szołobułki": „Augusta Szlogę" w roku 1935 i „Katilinę" w r. 1937. Przed wojną były one z wielkim powodzeniem wystawiane na scenach kaszubskich. Są to utwory dla ludu przeznaczone, odznaczające się barwnością i rozmaitością sceny, pogodnym nastrojem i często-gęsto rubasznym humorem, przy tym wszystkim — pełne rodzimego folkloru.

Trzeba zaznaczyć, że pierwiastek humoru pojawił się u Heykego już wcześniej. Mianowicie kiedy w roku 1922 redagował w Kościerzynie „Druha" (niedzielny dodatek „Pomorzanina"), zamieszczał w nim „Bardzenskji wergle", tj. żarty, oparte na reminiscencjach z lat dziecięcych. Do tych właśnie „werglów" miał zamiar wrócić krótko przed swoją śmiercią, o czym tak mi pisał w liście z 1 czerwca 1939 roku: „Obecnie mam na warsztacie trzecią i ostatnią szałabojkę dramatyczną: „Mądri Dega". Potem wezmę się do „Bardzeńskiech Werglów", których nie ukończyłem z powodu zlikwidowania „Druha"...

Zamiaru swego nie zdołał jednakże urzeczywisinić; nie ukończył i „Mądrego Degi", nie zdążył także ogłosić końcowej części „Dobrogosta i Miłosławy"...

*

Z Heyką odszedł jeden z nielicznych, którzy ludność i ziemię kaszubską otoczyli głęboką i serdeczną miłością i którzy temu uczuciu umieli równocześnie dać artystyczny wyraz. Jest przy tym z tych, którzy wpatrzeni w swą bliższą ojczyznę, nie przeoczyli ani na chwilę swej wielkiej Ojczyzny. Jak o tym świadczy m. i. jego „Spiew dzejowy", wyrażający tęsknotę do Polski, gdy nie istniała, i radość, gdy zmartwychwstała. W swym kaszubologizmie nie posuwał się nigdy do skrajności i dlatego do końca był konsekwentnym przeciwnikiem „Zrzeszy Kaszebskiej".

W życiu codziennym był to człowiek cichy, skromny, nie narzucający się, zamknięty w sobie, oddany wyłącznie swej pracy i młodzieży, którą lubił i która nawzajem otaczała go miłością i szacunkiem. Od życia społecznego i organizacyjnego trzymał się raczej z dala, nie miał bowiem żadnych ambicji wodzowskich w przeciwieństwie np. do Majkowskiego.

Do historii literatury kaszubskiej przejdzie głównie jako liryk, poza tym jako autor nowoczesnego eposu o „Dobrogoście i Miłosławie". Reprezentując północne Kaszuby, wniósł do literatury ich wartości językowe i folklorystyczne, dotąd niewykorzystane.

Odszedł w pełnym rozmachu twórczym.

W jednym z utworów lirycznych wyobraża sobie zmierzch swego życia i przedstawia siebie jako staruszka o wieczornej godzinie podpierającego się na kiju:

Na niebie swiecy miesąc,
Wieczorny wiew ju sni,
Jo sobie jidę drogą,
Podpierom sę na kij...

Jakże dziwnie przeczuł ostatni odcinek swego życia: „Wziął kij i szedł..."

Andrzej Bukowski

Miesiąc kulturalny

W KRAJU...

KASPROWICZ PRZYPOMNIANY

W mauzoleum, niedaleko „Harendy“ odbyło się w dniu 1 sierpnia uroczyste uczczenie pamięci Jana Kasprowicza, w przypadającą tego dnia dwudziestą rocznicę śmierci Wielkiego Poety.

Rocznica Kasprowiczowska dała okazję do odnowienia naszego stosunku do twórczości znakomitego Syna Kujaw, przyczyniając się do poszerzenia naszej wiedzy o najwybitniejszym z poetów minionej doby. Na łamach pism swymi wspomnieniami i uwagami o życiu i dziełach autora „Księgi Ubogich“ dzieli się szereg pisarzy z Kornelem Makuszyńskim, Kazimierzem Czachowskim i Konradem Górskim na czele. Śląska „Odra“, przytaczając znamienny fragment publicystyki Kasprowicza nazywa go słusznie „POETĄ ZIEM ZACHODNICH“.

Do powszechnego i należnego hołdu dołącza się również „Arkona“ — głosami Tymona Niesiołowskiego i Stanisława Helsztyńskiego.

SMIERĆ MEHOFFERA

Dnia 8 lipca umarł w Wadowicach pod Krakowem Józef Mehoffer, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli okresu „Młodej Polski“ w malarstwie.

Twórczość znakomitego artysty, długoletniego profesora i rektora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie stoi wyraźnie pod znakiem sztuki dekoracyjnej. Świetne witraże fryburskie przyniosły Mehofferowi sławę i odznaczenia, — dziesiątki mniej znanych arcydzieł, rozsianych wzdłuż i wszerz kraju pozostały widomym znakiem dzieła wielkiego artysty.

„ODRODZENIE“ NAGRADZA

Za najwybitniejszy tom prozy ostatniego czasu uznana została przez „jury“ Odrodzenia realistyczna powieść Tadeusza Brezy o minionym dwudziestoleciu pt. „Mury Jerycha“.

Decyzja „jury“ nie mogła należeć do zbyt łatwych, jeśli z powieścią Brezy konkurowały m. inn. znane utwory Andrzejewskiego, Żukrowskiego, Rusinka i Szmaglewskiej. „Z kraju milczenia“ Wojciecha Żukrowskiego, świetny tom opowiadań z lat wojny i okupacji został przez sędziów wyróżniony na drugim miejscu.

CORAZ NOWI LAUREACI

Dobry przykład działa. Nieledwie sprawą honoru co znaczniejszego z miast stało się podjęcie mecenatu nad twórczością artystyczną, w formie przyznawanych corocznie nagród: pisarzom, malarzom, muzykom. Nie minie parę dni, żeby PAP nie doniósł: Nagrodę literacką Krakowa otrzymał Julian Przyboś, plastyczną — Eugeniusz Eibisch. Nagrodę literacką Warszawy przyznano Broniewskiemu, miasta Łodzi — Jastrunowi. Poznań odznaczył poetę Wojciecha Bąka i plastyka Wacława Taranczewskiego. Województwo krakowskie w uznaniu zasług plastycznych — Zbigniewa Pronaszkę, za twórczość muzyczną — Artura Malawskiego. Nie jesteśmy przy tym bynajmniej pewni, czy w trakcie druku pisma nie przybędzie parę nowych pozycji...

Oby „epidemia“ trwała jak najdłużej i ogarnęła jak najszerszy teren...

DRUGA ROCZNICA POWSTANIA

Niemal cała społeczno-literacka i literacko-społeczna prasa uczciła drugą rocznicę Powstania Sierpniowego wydaniem specjalnych numerów: Wieś, Kuźnica, Dziś i Jutro, Tyg. Warszawski, Tyg. Powszechny, Warszawa, Życie Literackie. Sierpniowa rocznica wywołała nawet narodziny nowego pisma, dwutygodnika „Pokolenie“.

Wertując karty zapisane sprawami tyczącymi tej tragicznej i chwalebnej zarazem daty — łatwo zauważyć przewagę wypowiedzi publicystycznych (choć mniej krańcowych, niż rok temu), — kosztem fragmentów prozy i poezji, niedorównujących tym, które czytaliśmy ubiegłego roku.

DNI CHOPINOWSKIE W DUSZNIKACH

Jeszcze jedna rocznica: 120 lat temu(w dniach 25 i 26 sierpnia 1826 roku) 17-letni wówczas Fryderyk Chopin koncertował w Dusznikach (ówczesnym „Kurorcie“ Reinerz‘u) na Dolnym Śląsku, dochód jednego z koncertów przeznaczając na cel dobroczynny. Nie trudno to było wyszperać, bowiem — o dziwo! — sami Niemcy wmurowaniem tablicy upamiętnili swego czasu tę chwilę.

Rocznicę wykorzystano, urządzając Festival Chopinowski z Zofią Rabcewiczową, Henrykiem Sztompką i prof. Zdzisławem Jachimeckim, jako prelegentem. Rzecz z dwu względów ważna: Raz, że imprezę ogłoszono jako stałą, tj. urządzaną corocznie, a powtóre: Duszniki — to Ziemie Odzyskane, dalekie jeszcze do organicznego zrośnięcia z krajem. Dobrze, że nie zaniedbuje się możliwości, które mogłyby wpłynąć na przybliżenie się chwili pełnego kulturalnego zespolenia ziem „nowych“ ze „starymi“.

JÓZEF KOZŁOWSKI

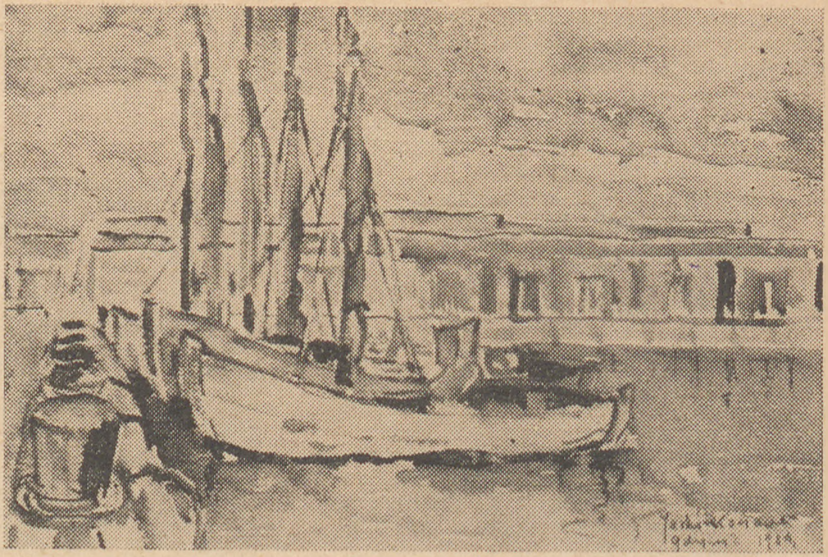

KUTRY
AKWARELA

Marian Turwid

PIERWSZA FALA

„Czas jest najwyższy po temu, aby Pomorze zostało nareszcie literacko, artystycznie i plastycznie odkryte. Pomorze i pomorzanie wciąż czekają na swego powieściopisarza, na swego Reymonta, na swoją szkołę malarską. Wbrew konwencjonalnym poglądom jest to Ziemia Obiecana tematów i motywów dla poszukiwaczy i odkrywców zapomnianego, zatajonego piękna. Ziemia prześlicznych legend, baśni, opowieści gminnych i historycznych epizodów barwnych. Ziemia pełna tajemniczych „diabelskich głosów“, prastarych dębów straszących, jezior zaczarowanych, miast zatopionych, ruin, kasteli. Ziemia pomorska nie ma jeszcze ni swego Tetmajera, ni swego Reymonta, czeka na swoich Wyczółkowskich i Fałatów. Pomorze całe musi być dopiero literacko, artystycznie i plastycznie odkryte, aby nastąpiło integralne i duchowe zespolenie z resztą Polski. Czas jest najwyższy po temu!“

Tak nawoływał — przed dwudziestu pięciu laty — Adolf Nowaczyński. Sekundowali mu, od czasu do czasu, bardzo zresztą nielicznie, koledzy po piórze, którzy podobnie doceniali ogromną rolę sztuki w kulturalnym zdobywaniu Ziem Nadmorskich. Na niewiele jednak zdały się ich wołania i przestrogi. Nawet donośny, zapalczywy, zaczepny i zawadiacki głos Nowaczyńskiego był głosem wołającego na puszczy. Na Puszczy Tucholskiej. Na tej uroczej puszczy, która z całą Ziemią Mestwina i Subisława wciąż czekała i czekała na najbardziej upragnionych gości. Nie znajdowała ich niestety w niepoliczonych tłumach „letników“, którzy co roku, w „sezonie“, wozili nad morze i na Pomorze swą wspaniałą lechicką lekkomyślność i swą — całemu światu imponującą beztroskę. Jechali przecież na plażę, po „słońce i wodę“, Ktoby tam, bawiąc nad Bałtykiem, myślał o zadaniach jakie spadły na pokolenie, któremu przypadło w udziale zdobywanie dla Polski Ziem Nadmorskich. Wystarczyło odkryć „Seebad Zoppot“ i zdobyć w nim miejsce w kasynie gry, by przy rulecie zapomnieć o wszystkich obowiązkach i — zgrać się do suchej nitki na rzecz — przyszłych okupantów. Trudno! Polak jest, jak wiadomo, mądry po szkodzie. A sprawy, o których piszę działy się mniej więcej na dziesięć lat przed — szkodą, przed największą szkodą w naszych dziejach.

Więc — choć „czas był najwyższy po temu“ — mijały lata i nie działo się nic, albo prawie nic na rzecz artystycznego zespolenia Pomorza z resztą Polski. Pomorze wciąż czekało na swego Tetmajera i swego Wyczółkowskiego. I gdy latami całymi doczekać się „swego“ Wyczółkowskiego nie mogło, postanowił na Pomorze wybrać się Wyczółkowski sam. Autentyczny. We własnej wspaniałej osobie. I by głosy Nowaczyńskich nie były wołaniem na puszczy, udał się Wielki Wyczół właśnie na Puszczę Tucholską. By ją odtąd i aż do śmierci niestrudzenie odkrywać. Tak odkrywać, że Artur Maria Swinarski nie zawahał się aż taką na „Tece Pomorskiej“ Wyczółkowskiego wypalić dedykcję:

„... Tyś to uczynił, że z Gryfem łączy się
[Biały Orzeł:
Zdobyłeś dla Polski Pomorze.“

Ten wspaniały przykład wielkiego majstra począł działać. Tak działać, że aż zdziałał bunt wśród co młodszej czeladzi i terminatorów malarskich w najwyższej podówczas uczelni artystycznej w Polsce, w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zawiązał się ni mniej ni więcej tylko „Komitet Morski“ i ogłosił wszem wobec, że ani mu się śni na pejzaż letni jeździć odtąd do Poronina, do Radzieszowa, czy do Krościenka. — „Dość już mamy gór i hal. Nie chcemy więcej malować Morskiego Oka, tylko morską toń. I to od Gdańska — aż (tymczasem) po Krokowo. Tyleśmy już płócień zasmarowali góralami, gazdami, bacami i Hucułami, że czas już wziąć na paletę kaszubskich gburów i bałtyckie śledzie. Tym bardziej, że przecież śledzie bardzo są ostatnio „w modzie“. Co najgłośniejsze asy Montparnassu „martwej natury“ bez jednego choćby na niej śledzia w ogóle nie uważają za malarstwo.“

Zdumiały się profesory i zgorszyły niepomiernie. A już najbardziej — sławetna „Trójka Huculska“: Sichulski, Jarocki i Pautsch. Sichuła klął głośno i siarczyście. Pautsch zalał się cynobrem aż po brzegi srebrzystej czupryny a tylko Jarocki milczał dyplomatycznie, bo sam już cichcem popełnił był przecie kilka interesujących marynistycznych litografij. Próbował rzecz całą załagodzić malarz o sercu gołębim Stefan Filipkiewicz, przyznając sie uczciwie, że — o zgrozo — przed rokiem bez mała zdra-

dził był także — swe ukochane góry dla — Jastrzębiej Góry. Najbardziej przecież niepocieszony był majster szkoły pejzażu przezacny profesor Kamocki. Cichy i pokorny, nie pomstował na odstępców ani ich próbował odwodzić od szaleńczych zaiste zamysłów. Tylko prosił, żeby — jeśli już koniecznie muszą malować morze — powyrzucali ze swych kaset wszystkie tuby lazurów i fioletów, aby — nie pod jego okiem malowane obrazy morskie nie były już aż nazbyt jaskrawą obrazą morską.

Bowiem obrazą morska było nieomal wszystko co podówczas w oparciu o tematykę morską ukazywało się na polskich wystawach. Nieliczne dzieła wykonane przez wspomnianych wyżej majstrów nie ratowały żałosnej sytuacji. Doliczyć by jeszcze do nich należało wszystkie płótna Żaboklickiego i kilka tylko z licznych akwarel Mokwy, aby ogarnąć niemal wszystko co plastyka polska miała do powiedzenia o polskim morzu. Bo nieliczne „morskie" dzieła Pankiewicza nie z polskiego, niestety, malowane były wybrzeża a tylokrotnie odtwarzane „Fale" Władysława Ślewińskiego mówiły najlepszym językiem plastyki o Bretanii a nie o — Pomorzu.

O morzu naszym i Pomorzu ględził za to i bujał kicz — banalny, słodki, nieznośny. Panoszyły się bezkarnie takie „Hele", „Gdynie", „Jastarnie", czy „Bałtyki", że na ich widok morskiej choroby można się było nabawić, nie opuszczając najgłębszego lądu.

Więc nie była błahą sprawa podejmowania prób ratowania sytuacji. I ten to chyba ważki wzgląd sprawił, że Jego Magnificencja rektor, dostojnie ręką machnąwszy, orzekł ostatecznie: — Niechże już jadą nad to morze, kiedy tak koniecznie muszą. Może morze i Pomorze im pomoże...

Łatwiej było jednak powiedzieć: „jedźcie", aniżeli pojechać. Bo — za co? Z Krakowo do — Krokowa odległość jest przecież straszliwa, kiedy się nie ma płótna do malowania a natomiast tylko płótno w kieszeni. Więc: — co robić? — pytali jeden drugiego wielce zafrasowani członkowie „Komitetu Morskiego", zafrasowani i bezradni. Aż znalazł radę utalentowany malarz i poeta w jednej osobie — Marian Niżyński. Zginał później tragicznie w latach okupacji. Niepowetowana to strata. Bo miał jeszcze wiele do powiedzenia na obydwu polach pracy twórczej. Jego dramaty: „Dalmino" i „Trzy mogiły" wystawione w teatrach krakowskich zwróciły nań uwagę najpoważniejszej krytyki. Sam projektował dekoracje do swych utworów dramatycznych. Ogromnie świeże, śmiałe, pełne ekspresji, plastycznie frapujące. Podówczas — jako uczeń Weissa, miał już za sobą pierwszy tom wierszy pt. „Opowieść o dzwonniku z portu Jaffa". Portu widzianego świetną wyobraźnią poetycką. Nie dziw, że marzyło się młodemu autorowi bezpośrednie zetknięcie się z morzem. I oto — jaką znalazł radę by marzenie swe urzeczywistnić:

— Zorganizujemy wspólnie wieczór autorski — oświadczył piszącemu te słowa. — Wieczór na dochód pierwszej w Polsce Morskiej Kolonii Malarskiej. Zobaczycie — jakie będzie miał powodzenie! —

Postanowił — i sam narysował na kamieniu oryginalne wielce zaproszenia. Kamienia użyczył mu dobrotliwie ostatni patron Michalikowej Jamy — Zenon Pruszyński, właściciel zakładu litografii artystycznej przy Floriańskiej Bramie. Kamienia wielce szacownego, tego samego, na którym rysowali i Frycz Karol, i Sichuła, i Wojtkiewicz i ba! ponoć także sam Wyspiander.

Wieczór zaś odbył się w nieistniejącym już dziś Domu Artystów przy Placu Św. Ducha. Przygotowaliśmy program uczciwie. Recytatorów zapewniliśmy sobie wybornych. Udział wzięły dwie krakowianki równie zdolne jak urodziwe: Marysia Podobińska i Barbara Jędrzejowska oraz dwaj panowie: Bronisław Dąbrowski — reżyser znamienity i Juliusz Balicki — aktor i malarz w jednej utalentowanej osobie.

I w rzeczy samej powodzenie było wielkie. Najobszerniejsza sala Domu Artystów wypełniła się po brzegi. Kochani koledzy-malarze poparli nasz wieczór autorski gorąco. Zajęli nieomal wszystkie miejsca. Ale tylko jeden z nich, o dziwo! nie zapomniał zapłacić za bilet wstępu.

Jakim więc cudem — członkowie Komitetu Morskiego (nie wszyscy niestety) znaleźli się w miesiąc później nad Bałtykiem — Bóg jeden raczy wiedzieć. Dość, że się przecież nad morzem znaleźli.

Oczywiście ani w Sopocie, ani w Juracie, ani w Jastrzębiej Górze. Nie podobaliśmy się zbytnio władcom „Kurhausów", hoteli czy pensjonatów. Może z uwagi na fakt, że zamiast budzących zaufanie kufrów, waliz i neseserów mieliśmy drewniane kasety z farbami, i związane sznurkami arkusze zagruntowanych tektur i dykt. Nam zresztą również nie podobały się wcale ani „Kurhauzy", ani hotele, ani pensjonaty. Zanadto szpeciły one i krępowały pretensjonalną przeważnie arogancją swych form, harmonijny charakter nadmorskiego pejzażu. Ciągnęło nas bowiem nad wolne, pełne, wielkie i otwarte morze. I ciągnęło nas do ludzi morza prawdziwych, autentycznych, „stonowanych" bez reszty z krajobrazem.

Znaleźliśmy i takich ludzi i taki kąt błogosławiony za siedmiu wydmami i za siedemdziesięciu siedmiu sosnami — w Ostrowie, między Karwią a Jastrzębią Górą. Znaleźliśmy gościnę wśród kaszubskich rybaków, uboższych jeszcze od nas, ale za to sercem należących do najprzedniejszych chyba bogaczy. Nie nadarmo Chrystus-Pan spośród rybaków właśnie wybrał był sobie apostołów.

Jaka szkoda, że jedyna pełnowartościowa powieść o kaszubach napisana jest po — kaszubsku. Przepiękna rzecz Aleksandra Majkowskiego o „Życiu i przygodach Remusa" jest niestety dla ogromnej większości czytelników polskich nieczytelna. Nie toruje więc drogi do braci naszych na polskiej Północy. Tak jak ongi — tak i dziś są oni nieznani i — niedoceniani. Dla nas — pierwsze zetknięcie się z kaszubskim „rebokiem" czy „gburem" było rewelacją. A następne — kapitalną pomocą w odszukiwaniu właściwego tonu w sposobie podchodzenia do tematu. Myli się kto sądzi, że morze nasze jest — jako motyw artystyczny — proste i łatwo uchwytne. Nie znam kapryśniejszego i bardziej niewygodnego modela. Bałtyk nie jest — jak morza południa — leniwie rozbłękitnione całą serią tak samo nasłonecznionych dni. Tu nie ma mowy o pozowaniu. Nie tylko o dwu dniach, ale o dwu godzinach podobnych do siebie w naświetleniu i akordzie barwnym mówić nawet nie można. W studiach nad Bałtykiem trzeba cierpliwości zaiste anielskiej. Albo — kaszubskiej. Bo właśnie od kaszubskich rybaków można się jej najlepiej nauczyć. Oni to przecie wyjeżdżają co dnia na połów w przykrych przeważnie warunkach i nie ustają, choć dziesiątki, ba — setki razy wypływać im się przydarza daremnie. Kiedy ten i ów spośród nas płótna darł i pędzle łamał już po trzecim czy czwartym nieudanym studium marynistycznym, oni na ten widok nie przestawali uśmiechać się dyskretnie i dobrotliwie.

— Mam dosyć tego całego morza! — nie wytrzymał któregoś dnia, nie w morskiej ale w gorącej wodzie kąpany, Julek

...I NA POMORZU

SZEŚĆSETLECIE DZIELNEGO MIASTA

Na przestrzeni całych wieków zmagań Ziem Zachodnich z niemczyzna Bydgoszcz toczyła jedną z najcięższych walk. Urocze miasto nad Brdą, przed 600 laty królewskim ustanowione przywilejem, w myśl wrogich zamierzeń stać się miało w tym kraju bastionem wojującej niemczyzny. Zachodnia twardość i nieugiętość kazała mieszkańcom nieustępliwie trwać przy polskości — mimo zakusom Fryderyka, mimo „krwawym niedzielom" jego godnych następców. Już w minionym dwudziestoleciu obserwować można było błyskawiczne strząsanie z siebie obcego nalotu. Ale dopiero nowa niepodległość pozwoliła miastu okazać swe niefałszowane już, prawdziwe POLSKIE OBLICZE.

W swoim roku jubileuszowym miasto, którego „danina krwi" najobfitszą było po stolicy ze wszystkich miast polskich — odznaczone zostało za swoją dzielność „Krzyżem Grunwaldu".

NA WYBRZEŻU

Tegoroczne „Święto Morza", obok pewnego zainteresowania sprawami morskimi w naszej prasie i prawdziwego najazdu na już nie 47 a ponad 500-kilometrowy brzeg turystów i urlopników z całego kraju — przyniosło również pewne ożywienie kulturalne w środowiskach nadmorskich. Szkoda tylko, że niestety prawie wyłącznie od strony inicjatywy organizacyjnej — nie zaś jako jej reakcja.

Nie ze wszystkim bowiem dzieje się dobrze na Wybrzeżu. Nie ratuje sytuacji piękny koncert muzyki polskiej urządzony z okazji Święta Morza w „operze leśnej" w Sopocie, z Sztompką i dyr. Latoszewskim, oraz Karłowiczem, Paderewskim i Szymanowskim w programie, gdy o parę dni późniejszy recital Ewy Bandrowskiej-Turskiej przynosi pustki na sali.

W 217 nrze „Dz. Bałt." czytamy: „Nie po raz pierwszy zdarza się w Gdyni, że cenne imprezy zostają zignorowane. Tak było z Andrzejewskim, tak było z Broniewskim, i tak było ze Szpinalskim". A ze sprawozdania ambitnie sterowanej „Filharmonii Bałtyckiej" wyczytujemy o przeciętnej frekwencji kilkudziesieciu koncertów minionego sezonu, wynoszącej zawrotną cyfrę... 89 osób, przy 65 członkach zespołu.

Czym to wszystko tłumaczyć, majac świeżo w pamięci koncerty Szpinalskiego, Sztompki, Niemczyka w Pom. Domu Sztuki w Bydgoszczy przy udziale 600 osób, bo więcej sala pomieścić nie zdołała? Czyżby nalot „niebieskich ptaków" na polski brzeg?

TRADYCJE KRZEMIENIECKIE NA MAZURACH

Prasa codzienna doniosła o postanowieniu utworzenia w Kętrzyniu na Mazurach tzw. „Liceum Mazurskiego", uczelni, której ustrój ma być wzorowany na słynnym Liceum Krzemienieckim.

Notujemy z dużą satysfakcja: obok Instytutu Mazurskiego, Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego, Muzeum Mazurskiego i Miejskiego Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie — nowa placówka w szeregu instytucji pełniących służbę kulturalną na tej ziemi.

TYDZIEŃ MUZYKI POLSKIEJ

Nie tak dawno, w dniu otwarcia „Pomorskiego Domu Sztuki" w Bydgoszczy pisaliśmy z tego miejsca:

„.... Po ostatecznym przepędzeniu złego ducha ziem pomorskich i po odpowiednim przystosowaniu byłej jego siedziby do potrzeb polskiej kultury, staje oto — wspólnym wysiłkiem władz państwowych, czynników miejskich i całego społeczeństwa „Pomorski Dom Sztuki". Dom otwarty dla wszystkich, którym sztuka polska jest droga i nieodzowna. W jego to murach znajdą muzycy znakomita sale koncertowa, znajda literaci — świetna sale odczytowa, znajda plastycy swój tak dawno upragniony, stały salon wystawowy. Stolica Pomorza zaś posiądzie wreszcie instytucie, która walnie przyczyni sie do tego, aby Bydgoszcz była nie tylko największym na Pomorzu skupiskiem ludzkim, ale — by była jednocześnie pełnowartościowym kulturalnie środowiskiem".

Dziś, ledwie po czterech miesiacach zanotować możemy fakt radosny: w tymże Domu, na przestrzeni paru letnich miesięcy odbyło się 11 koncertów symfonicznych nowopowstałej Miejskiej Orkiestry Symfonicznej, wystąpiło 4 śpiewaków, 6 pianistów, 8 instrumentalistów ogólnopolskiego i światowego znaczenia i rozgłosu. — tutaj wreszcie odbyła Bydgoszcz przy wypełnionej sali swe sześciodniowe ŚWIĘTO MUZYKI POLSKIEJ. W na sześć dni rozłożonym koncercie rodzimej twórczości wzięli udział artyści tej miary, co I. Dubiska, Zdz. Górzyński, H. Sztompka, A. Szlemińska, St. Szpinalski, K. M. i W. Wiłkomirscy.

Prężność kulturalna dzisiejszej Bydgoszczy, — czego wycinek życia muzycznego najlepszym dowodem — każe wierzyć, że miasto znajduje sie na najlepszej drodze do stania sie „pełnowartościowym kulturalnie środowiskiem".

Balicki. — Niech diabli wezmą te ciągłe zmiany! Pięciu sekund cholera nie utrzyma koloru! I maluj tu potem te zatracone bałwany. Utopię kasetę i — basta — Rzekł i — z rozmachem rzucił w morze całe pudło malarskie razem z farbami, pędzlami i pejzażem.

A świadek tej zbrodni stary Konkel spokojnie ruszył do chaty i przyniósł sieci. — Po co? — zaperzył się malarz. — A po to, żeby pan mógł jutro znowu na nowo malować, — dobrotliwie tłumaczył rybak, nie bez zachodu i mozołu wyławiając utopioną kasetę.

I tak nas oto — gospodarze nasi uczyli coraz większej cierpliwości — i coraz większego ukochania morza. Mimo, że przecież tak dla nich jak i dla nas nie było ono wcale łaskawą kochanką. Ale wśród tajemniczych praw kochania jedno z najbardziej niepojętych jest to, które tym więcej nakazuje kochać przedmiot umiłowań — im bardziej jest on nieprzystępny i oporny.

Wspólnie, choć na inne sposoby, zmagając się z tym samym żywiołem, nauczyliśmy się nawzajem szanować nasze wysiłki. Wzruszająca tu zwłaszcza była subtelna przychylność rybaków w stosunku do naszej pracy. Tym więcej, że przecież jej istotny sens i cel był im chyba bardzo trudno uchwytny. Zwłaszcza w początkowym okresie. Gospodyni nasza, rozgarnięta i rezolutna staruszka, na widok naszych studiów oświadczyła z całą poczciwą otwartością, że: „fotografujemy" bardzo szpetnie. Jej sędziwy małżonek, wysłużony, ale jeszcze dziarski wilk morski, już jednak po upływie tygodnia nieco lepszego widać nabrał o nas mniemania. Zwrócił się bowiem do mnie z prośbą abym go odfotografował. Potrzebna mu jest koniecznie fotografia do przepustki wymaganej przy wjeździe do Gdańska. Ma tam, nad Motławą, wnuczkę pracującą w hotelowej kuchni. Dawno wnuczki tej nie widział, więc bardzo chciałby ją odwiedzić. Jednak bez fotografii — ani rusz — nie puszczą go graniczni strażnicy.

— Przykro mi, ale nie mogę panu zdjęcia legitymacyjnego zrobić, bo nie mamy aparatu.

— A na cóż panu aparat? — zdziwił się stary marynarz, — mało to pan ma farb i kredek w pudle?

Na nic były wszytkie moje próby wytłumaczenia zachodzącej tu różnicy. Mimo wszelkie perswazje trwał niezłomnie w przekonaniu, że namalowana przeze mnie „fotografia" wystarczy władzom najzupełniej.

Nie sposób było starego przekonać. Więc uległem w końcu i nie bez żywej zresztą satysfakcji narysowałem kredą jego portret „naturalnej" wielkości.

Ucieszył się wielce, zwinął swą „fotografię" w rulon i — pojechał do Gdańska.

Za kilka dni wrócił. — No, nie mówiłem, że pana strażnicy nie puszczą, — powitałem go po powrocie.

— Co nie puścili! Nawet z honorami. Fotografia bardzo im się podobała. Ten ich starszy to ją nawet sobie zatrzymał, a mnie poklepał po plecach i kazał iść do wnuczki.

Od tej chwili pozycja nasza urosła niepomiernie. Do tego stopnia, że Onufer Piąty, najzamożniejszy z dwunastu Onufrów Konkelów z Ostrowa zaprosił nas na „pomuchla" ze „złotą wodą" do swego „pensjonatu".

I trzeba przyznać, że ugościł nas po królewsku ale — jak się okazało — nie bezinteresownie. W zamian za jadło i napitek zażądał od nas ofiarowania mu jednego z naszych obrazów do sali honorowej jego znakomitej instytucji.

Zapiliśmy zgodę — i Onufer Piąty przybył do nas nazajutrz, by dokonać wyboru obrazu.

Jednak na widok naszych dzieł mina mu bardzo zrzedła. — Nie! Stanowczo żaden z naszych obrazów nie zasługuje na to, aby go zawiesić w tak wyjątkowo zaszczytnym miejscu jak jedyny pensjonat w Ostrowiu. Bo wszystkie bez wyjątku nasze malowidła wykazują, niestety, już aż nazbyt rażące, nazbyt zasadnicze braki.

— Jakież to braki? — dopytywaliśmy się, niemało zaintrygowani tak zdecydowanie niepochlebnym sądem naszego surowego krytyka.

— Ano takie: Na każdym porządnym obrazie powinien być przecie namalowany przede wszystkim i koniecznie — las. A w tym lesie — rzeka. A na tej rzece — łódka. W łódce zaś dwoje zakochanych. Nad nimi unoszący się w powietrzu jastrząb. Broń Boże! — wrona. A w lesie sarna. No i na jednym z drzew winna być nieodzownie wspinająca się wiewiórka.

Trudno! Umowęśmy zawarli i uczciwie ją przypili, przeto rady nicma i słowa dotrzymać trzeba. A że dzień się akurat wydarzył deszczowy, więc — wszyscy razem, przeprosiwszy Muzy, zabraliśmy się społem do roboty. I tak wspólnymi siłami stworzyliśmy arcydzieło jedyne w swoim rodzaju. Nawet nasz wymagający mecenas już żadnych zastrzeżeń nie zgłosił i uroczyście obraz zawiesił w najlepszym miejscu nad czerwoną pluszową kanapą znakomitego pensjonatu „Mewa".

A w niecałe dwa miesiące później — tuż przed naszym powrotem w głąb lądu — usunął go stamtąd cichaczem. Przed tym przyszedł do nas i zaproponował zamianę:

— Oddam wam obraz z lasem, rzeką, wiewiórką i sarnami — a wy dajcie mi za to któryś wasz obraz z morzem.

— Który?

— Wszystko jedno. Byle by na nim tylko było morze i żeby był dosyć duży.

— Zgoda.

Cóż wpłynęło na to, że tak się radykalnie zmieniły poglądy na sztukę malarską u Onufra Konkela Piątego. Jak się to stało?

Zwyczajnie. Zbyt często i zbyt uważnie przyglądał się naszym robotom, by się, inteligentny z natury, dość rychło nie zacząć orientować. I w tym rzecz właśnie. Przekonało go *nasze* spojrzenie na morze. Oglądał je od dziecka, ale go nie *widział*. Bo jak słusznie Wilde mówi: wielka to różnica, czy na jakąś rzecz patrzymy, czy ją widzimy. A co widzimy i jak widzimy — zależy od sztuki, której ulegamy.

Od artysty tedy polskiego zależy spojrzenie Polski na morze. Nie jest to sprawa błaha w jakim kształcie i kolorze utrwali się w oczach milionów Polaków obraz tych ziem i mórz tak drogich, za tak wysoką cenę odzyskanych. Dziś jeszcze patrzymy na cudną Północ naszą jak ślepcy. Nie widzieliśmy „wczoraj" należycie ani Gdyni, ani Helu, więc tym bardziej nie widzimy dziś tych naszych Lęborków, Kołobrzegów, Elblągów... Szmaragdowy Szczecin, błękitnawy Olsztyn to w wyobraźni naszej tylko białe plamy. Podobnie zresztą jak złociste Kartuzy, zielone Wejherowo czy Czarna Woda Tucholskiej Puszczy. Jeśli artysta polski dopuści — że cały ten kraj, tak czarowny, oczy polskie oglądać się nauczą przez pryzmat tandetnej widokówki, banalnego kiczu, szpetnej reprodukcji—wówczas wielką, bardzo wielką będzie jego wina. Nie spełni swego społecznego zadania. Zadania twórcy, mającego przecież święty obowiązek organizowania wyobraźni. Nie przyczyni się walnie do duchowego zespalania tych ziem z resztą Polski. Nie odpłaci się wysiłkiem twórczym tym, którzy za powrót Pomorza do Macierzy — zapłacili krwią.

Bądźmy jednak dobrej myśli. Zmieniło się tak wiele na pomorskich ziemiach i plażach. To już dziś nie czasy dorywczych, pionierskich wypadów. Czasy skromnej, ledwo dostrzegalnej *pierwszej fali*. Dziś — niemal z miesiąca na miesiąc rosną w liczbę i walor pomorskie bractwa i cechy pracowników sztuki. W Sopocie, w Gdyni, w Toruniu, w Bydgoszczy pracują z zapałem młode polskie uczelnie artystyczne. Rośnie i wzmaga się coraz szersza, coraz dłuższa fala. Już ją na horyzoncie widać coraz wyraźniej. Idzie przypływ!

Marian Turwid

Józef Modrzejewski

PIAST — „KRÓLEM MORSKIM"

Zwięzłość i syntetyczność kronik średniowiecznych posiada szczególną wymowę w erze twórczości psychologicznej. Zdumiewa nas dziś siła ekspresji zawarta nierzadko w pojedyńczych nawet zdaniach, nabrzmiałych uczuciem i treścią dramatyczną. Z kilku rzutów zarysowują się nam sylwetki ludzi średniowiecznych, często daleko plastyczniejsze niż studia Marcela Proust'a czy plejady jego mniej lub więcej szczęśliwych naśladowców.

Szczególnie charakterystyczne są najdawniejsze kroniki duńskie z Saxem Gramatykiem, owym Długoszem skandynawskim na czele. Nie brak im formy mozaikowej, cechującej ówczesne kronikarstwo europejskie, ale może właśnie dlatego, że można napotkać w nich obok siebie najmniej związane ze sobą fakty — ciekawość badacza jest tym silniej podrażniona.

Zdaje się, że żyje w nich wiecznie żywy duch Wikingów — ludzi napół dzikich, dumnych i bezwzględnych, nie pozbawionych jednak żywej wyobraźni i pewnego kultu dla swych wielkich przeciwników. Stąd też opis dziejów zmagań słowiańsko-duńskich cechuje obok dynamizmu akcji i realizmu batalistycznego także nieco poetyckie zabarwienie. Saxo Gramatyk i jego rodacy stają się nam dziś bliżsi podobnie jak Gall-Anonim. Mamy bowiem do uzupełnienia dziedzinę dotąd bardzo zaniedbaną: początki polskich tradycyj morskich, które wyłaniają się z najdawniejszych dziejów słowiańskiego ujścia Odry. Kronikarze duńscy będą tutaj jednymi z najważniejszych przewodników. Jakkolwiek należą do wrogów Słowian przecież czynią im olbrzymią przysługę w postaci dokumentaryzacji wypadków i wspomnianej maniery charakteryzacji poetyckiej głównych przeciwników.

I dzięki temu możemy przedstawić oto najdawniejszego admirała Polski: księcia Racibora — i jego wyczyny.

Przebiegnijmy myślą ku tym bohaterskim czasom. Bolesław Krzywousty dociera ze swą niepokonaną drużyną do ujścia Odry. Lasy pomorskie rozbrzmiewają sławą polskiego Rolanda, przez nieprzebyte ostępy biegnie do najodleglejszych osiedli wieść o polskim pochodzie ku morzu, a bogate miasta portowe, Szczecin, Wolin i Ko-

JAN BIEDOWICZ

MOTYW Z BORÓW TUCHOLSKICH

OLEJ

łobrzeg rezygnują ze swego partykularyzmu na rzecz wielkiej wspólnoty słowiańskiej.

Rycerstwo polskie ułożyło pieśń o niezłomnej woli uczynienia z lądowego państwa Polan kraju morskiego, które by wykorzystywało w pełni fakt dotarcia do wybrzeży.

Pieśń, przechowana przez najdawniejszego dziejopisa, pozostałaby jednak tylko panegirykiem schlebiającym ambicji Bolesława i jego drużyny, gdyby nie kronikarze duńscy.

Oni wymieniają człowieka, który praktycznie zaczął ją realizować. Jest nim brat Warcisława księcia szczecińskiego z rodu Piastów pomorskich — wymieniony już Racibor.

Zestawmy luźne notatki Duńczyków. Po raz pierwszy wymieniają one naszego „admirała" w związku z jego wielką wyprawą do cieśnin i zniszczeniem miasta portowego Kongeli 10 sierpnia roku 1135. Dowodzi wówczas flotą pomorską, stanowiącą podobno olbrzymią armadę. Podaje się różne cyfry dotyczące ilości ówczesnych okrętów-łodzi. Jedni sądzą, że było ich 250—500, inni, jak Saxo Gramatyk, że nawet około 1500. Kroniki zawierają również i ich opisy.

Z konstrukcji podobne są do znanych normandzkich: wydłużone, wielkie łodzie z wysoko podniesionymi dziobami i rufami, sterowane przy pomocy dużego wiosła, poruszane przez wioślarzy i żagiel prostokątny szyty ze skóry, umieszczony na maszcie na śródokręcie. Czymś się jednak różnią.

Kronikarze duńscy zwracają uwagę na szczególne ich właściwości: nie mają stałego pokładu na całej długości tylko na końcach tak, że śródokręcie pozostaje otwarte. Zabierają 44 ludzi i 2 konie bojowe. W stosunku do duńskich są mniejsze, lecz szybsze i zwrotniejsze.

O flocie pomorskiej sprzed roku 1135 nie słyszeliśmy. Przeciwnie nawet Krzywousty ocenia bardzo krytycznie zaczątki Warcisława i woli korzystać z pomocy duńskiej w czasie desantów na Wolin, Uznam (Orznę) i Rugię. Skąd więc nagle taka armada i to w dodatku już posiadająca długoletnią tradycję? Kronikarze nazywają bowiem Racibora „królem morskim" i przypisują mu szereg zwycięstw na całym Bałtyku przed wyprawą na Kongelę.

Tutaj nasuwa mi się pewne przypuszczenie. Racibor dowodzi zapewne flotą Ranów od chwili zdobycia Rugii przez Krzywoustego jako jego namiestnik tj. od 1130 r. Potwierdzenie tej hipotezy znajduję w dalszej notatce kronikarskiej, która wspomina, że w 1138 r. rański książę Race czyli Racibor atakuje flotą osadę niemiecką portową Lubekę (Lubice). Ponadto jedynie Ranowie mają właśnie wyszczególnione w opisie takie okręty-łodzie (o czym dużo u Saxa Gramatyka w związku z ostatnią ofenzywą duńską przeciw Arkonie) i słyną z najlepszej organizacji wojenno-morskiej oraz z wyszkolenia załóg.

Znajdujemy więc podstawy do skreślenia historii pierwszego admirała Polski i dalszych badań w ściśle określonym już kierunku.

Racibor osadzony na Rugii w 1130 roku obejmuje komendę nad świetną armadą, która od chwili zburzenia Jomsberga walczy o prymat nad Bałtykiem. Ruszają więc eskadry rańskie okrętów wojennych atakując żeglugę skandynawską. A płyną wtedy bogate transporty, które opuszczają zdobytą Anglię i wiozą do metropolu nieprzebrane łupy. Marynarze północni są twardzi, okrutni i pewni siebie jako pogromcy wszystkich flot europejskich. Ale zgrzytają zębami przechodząc przez wąską gardziel Bałtyku pomiędzy Skanią a wyniosłą skałą Arkony. Tam na południu są jeszcze porty urągające ich sile.

Okręty Racibora spadają jak sępy, przygotowane na zaciekły upór, ale i na zdobycie skarbów. Kapłani Swantewita zachęcają marynarzy szczęśliwymi wróżbami wiedząc, że chcąc zachować wolność, niezależność i dogodną rolę pośrednika handlowego między Polską a Skandynawią i Rusią trzeba osłabiać przeciwnika, niszczyć szczególnie jego flotę. Baczą także na rozwój ojczystej Arkony oraz portów Wolinina i Szczecina, i barwnymi opowieściami podjudzają żeglarzy do desantów na miasta konkurencyjne Duńczyków, Szwedów i Niemców.

Racibor znalazł w nowej roli ujście dla swego piastowskiego temperamentu. Krótki przydomek „króla morskiego" mówi bardzo dużo. Mówi o zwycięskich bitwach staczanych między okrętami rańskimi, które zaczynały się obopólnym miotaniem strzał i kamieni z katapult, przechodziły w abordaże i kończyły się przerzuceniem grupy wypadowej na pokład przeciwnika. Mówią o ryzykownych rejsach wśród wąskich cieśnin i w ciasnych tajemniczych fiordach, o wypatrywaniu nikłych sylwetek okrętów Wikingów, pościgach i walkach z burzami. Mówią wreszcie o przenikaniu przez jeziora szwedzkie w okolice dzisiejszego Sztokholmu.

A oto wielka wyprawa na Kongelę. Bogate miasto (w okolicach dzis. Goeteborga) wyrasta ponad inne, zagraża już swobodnemu przepływaniu cieśnin, może stać się bazą przeciw żegludze słowiańskiej.

Bolesław Krzywousty udziela osobistego zezwolenia na akcję swego dalekiego kuzyna. Armada rańska przerywa więc liny wiążące ją z lądem i rozwija się na morzu w normalny szyk bojowy. Racibor prowadzi ją zdecydowanie jako wódz zespolony wieloma przeżyciami z Ranami. Wie, że w czasie przechodzenia Sundu nikt go nie zaczepi, zresztą jego flota jest zawsze gotowa.

I następuje wysadzenie wielkiego desantu. Flota podchodzi pod miasto i bije do niego kamiennymi pociskami z katapult. Skaczą do wody żołnierze morscy, wyprowadza się na brzeg konie. Z kolei sformowana kawaleria otacza od lądu Kongelę, piechota wdziera się od morza.

To zwykły szablon desantu słowiańskiego. Jest znany już Danii i Szwecji, będzie znany Niemcom.

Sukces Racibora jest zupełny. Olbrzymie łupy i tłumy brańców zabiera jego flota, z miasta pozostają zgliszcza.

Sława dowódcy rozprzestrzenia się po całej Skandynawii. Jest to prawdziwy „król morski".

Jeszcze jedną taką wyprawę podejmuje Racibor, w sam rok śmierci Krzywoustego, przeciw zdradzieckim kolonistom niemieckim w Lubece. I znowu ten sam wynik powiększy sławę Piasta. Ale to zarazem i ostatnia jego akcja. Próżno wertujemy kroniki: nie słychać o nim więcej ani słowa.

Fatalny testament Krzywoustego niszczy plany morskiego państwa.

LEON WYCZÓŁKOWSKI

PRZY SIECIACH

STANISŁAW SZCZEPAŃSKI

KSIĄŻKI OLEJ

Jerzy Remer

PRZEGLĄD PLASTYKI POZNAŃSKIEJ

Wystawa Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Poznańskiego inicjuje i realizuje program kolejnych wystaw plastyki w Pomorskim Domu Sztuki w Bydgoszczy. Zapoczątkowana wymiana pozwoli, miejmy nadzieję, na bliższe skontaktowanie artystów ze społeczeństwem, dając po pewnym czasie przegląd obecnego stanu malarstwa w Polsce i kierunków w nim panujących. Rolę tę spełniają obecnie co prawda t. zw. salony (wiosenne, jesienne, zimowe itp.) w Warszawie czy w Krakowie, koncentrując tam produkcję artystyczno-plastyczną ze wszystkich środowisk polskich, niemniej jednak większe i żywotniejsze z nich mają również szlachetną ambicję, przynajmniej w wymiennych pokazach, zsyntetyzować u siebie dorobek w omawianej dziedzinie. W ten sposób dokuczliwy prowincjonalizm (nie identyczny oczywista, z regionalizmem poszczególnych szkół) mógłby wreszcie być wyeliminowany praktycznie ze wzgardliwego pojęcia o „wyższości" i „niższości" w twórczości plastycznej.

Cennym wkładem tego rodzaju pracy, a raczej współpracy, do realnego uspołecznienia sztuki plastycznej jest obecna wystawa. Przynosi ona niemały plon 112 prac przypadających na 36 wystawców. Pod względem tematowym przeważa pejzaż (46 obrazów, w tym 10 rodzajów architektoniczno-urbanistycznego i 10 „komponowanego"); 19 obrazow ma za temat martwą naturę i kwiaty, 10 portrety, 3 akty i 3 kompozycje (rodzajowe); reszta przypada na prace graficzne.

Powyższy z grubsza tylko naszkicowany podział ma na celu uświadomienie czytelnika (i widza) co do pewnych a dość znamiennych predylekcji artystów z danego środowiska artystycznego, a co znów w ogólno-polskim rejestrze pozwoli, po pewnym okresie czasu, na interesujące wnioski ze stanowiska ogólnej fizjognomii naszego malarstwa i jego historii.

Przystepując do szczegółowego omówienia bieżącej wystawy zaznaczyć wypadnie, że na tle nie zupełnie wyrównanego poziomu i przy nie dość przemyślanym układzie, występuje szereg indywidualności artystycznych, które ujawniają swe dążności w większych lub mniejszych zespołach obrazów, pozwalających na syntetyczno-krytyczna ocenę. Nie ustawiamy ich ani według jakiejś hierarchii ani też według zawodowych, w stosunku do twórczego artysty, kanonów. Podkreślamy natomiast te cechy lub wartości, które stanowią istotę malarskiej wizji.

Podobnie jak wielkie wystawy (np. ostatni „Salon wiosenny" w Warszawie) tak i ten pokaz, na o wiele mniejszą skalę — nie przynosi szczególniejszych rewelacji, a także, będąc przeglądem prac dość zróżnicowanym pod względem konkretyzacji w dążności artystów i w ich stosunku do świata widzialnego, obejmuje z natury rzeczy zarówno już przebrzmiałe kierunki naturalizmu, impresjonizmu i post impresjonizmu (te dwa ostatnie w rozumieniu punktu wyjścia), jak i świadome usiłowanie w konstruowaniu obrazu, w problematyce koloru i formy.

Świadomie programowa jest twórczość Wacława T a r a n c z e w s k i e g o, budującego swe obrazy harmonijnie i według jednolitego zestroju jakości kolorystycznych, w ściszonych tonacjach, w których barwa, zatracająca pozornie materialność w delikatnej powłoce farby, wydobywa z „Martwych natur" i z postaci ludzkiej („Akt") konkretność zjawiska malarskiego. Pomimo, że finezja ta jest zapewne regulatorem przemyślanych koncepcji i studiów, co pozwala artyście na swobodne konkretyzacje w konstrukcji obrazu, to jednak w pamięci optycznej pozostawia ona pewien, może tylko przejściowy, niedosyt. Z sangwinowego „Autoportretu", którego istotnym składnikiem jest siatka pozornie niezorganizowanych niemal chaotycznych kresek, delikatnych jak nitka pajęcza, unaocznia się we wzrokowych właściwościach zdecydowany czy określony wyraz indywiduum w pewnym określonym stanie psychicznym. Interesujący pod względem technicznym gipsoryt („Głowa") uwidacznia w typizacji przedstawionej osoby podobny uczuciowo moment — refleksyjnej zadumy.

Do stłumionej muzyki skrzypiec można przyrównać wyrafinowane malarstwo Stanisława S z c z e p a ń s k i e g o, który aranżuje swe obrazy („Martwe natury") z owocami, książkami i pejzaż „Letnisko") jak wirtuoz zdający sobie sprawę z wartości cyzelowania planu i walorów; w delikatnej siatce „mozajkowych" dotknięć grają one zespołem barwnym, wywołując specyficzną atmosferę bardzo intymnego liryzmu. Bardziej wyrozumowane są prace Jana S p y c h a l s k i e g o, upraszczającego motyw do minimum, nie zależnie od tematu („Pejzaż", „Wnętrze", „Czerwony fotel"), a lubującego się w anti kolorystycznym nastroju, w którym zanika, pomimo pozornej (zredukowanej) przedmiotowości, konkretność form wbrew, zdaje się, intencjom artysty. Przeciwnie zaś, Józef K r z y ż a n o w s k i posiada dość szeroką skalę kolorystyczną, w której pomieścić może zmienność pór roku („Jesień", „Zima"), podpatrzoną okiem wytrawnego naturalisty, umiejącego z wycinka krajobrazu utwierdzić w wielowarstwowym ujęciu, lecz nie zawsze w kompozycyjnej jednolitości, znamienne cechy naturalnej malowniczości (np. „Upust" I i II).

Prace D z i u r z y ń s k i e j - R o s i ń s k i e j noszą wszelkie pierwiastki solidnego malarstwa ,przejawiającego się nie tyle może w wyborze tematów (Akt, pejzaże, kwiaty) ile w subtelnym opracowaniu zestawień barwnych o wytwornej i miękkiej tonacji.

J A N G R Z E G O R Z E W S K I

DON KICHOT RYS. TUSZEM

Rozległa jest tematyka obrazów Koźmy Czuryły, grawitującego między realizmem a dyskretną stylizacją o wyraźnych reminiscencjach „muzealnych" („Sielanka", „Koncert"), co zresztą nie wpływa decydująco na malarską interpretację, znajdującą naturalniejsze ujście jeszcze w innych i odmiennych wypowiedziach tegoż artysty, podpatrującego bystro zjawiska przyrody („Wiatr", „Chmury"). Podobnie a jeszcze trudniej wyznaczyć miejsce jedynemu obrazowi pt. „Park" Ildefonsa Houwalta, który w tym zmodernizowanym Fêtes galantes nie tylko podsuwa (nie bez pewnej ironii) dość dalekie reminiscencje, lecz wabiąc zmysły malowniczym nastrojem daje zorganizowany pod względem realiów i akcesoriów motyw „teatralny".

Niemniej zaciekawiającym objawem w zakresie tematyki kompozycyjnej są gwasze, akwarele i tempery Witolda Gawęckiego, w których motyw człowieka występującego zbiorowo (w „Niedzieli za miastem", w „Sieście" i w „Antykwariacie") odgrywa wybitną rolę jako zagadnienie ruchu o typie „marionetkowym" a znacznej dynamice w barwnej jaskrawości.

Obrazy Floriana Klemińskiego, malującego sprawnie techniką temperową, olejną i pastelową, w których artysta rozbija plamę na drobne składniki w rodzaju pointylistycznym, należą do gatunku wyszukanych sposobów odtwarzania fizyczności człowieka oglądanego jakby przez mgłę poświaty („Idylla huculska", „Macierzyństwo"). Surowe w konkretnym ujmowaniu rzeczywistości brył architektonicznych wydają się natomiast pejzaże urbanistyczne („Plac kolegiacki", „Chwaliszewo", „Kościół św. Jana") Barbary Houwaltowej, malowane zdecydowanie w tradycjonalnej przedmiotowości a podobnie jak jej „Martwa natura", występująca w swej materialności (naczyń kuchennych z dobrym akcentem srebrzystych rybek) przedmiotowo plastycznie, lecz bezproblematycznie pod względem kolorystycznym.

Krystyny Powidzkiej „Port w Szczecinie" i „Pejzaż", utrzymane w zielonkawo-srebrzystej gamie, odpowiadającej przejrzystości wody i powietrza, wnoszą szlachetną harmonię kolorystyczną w fizyczną konkretność natury oglądanej przez pryzmat. „Błękitny dach" Jana Piaseckiego nie pozwala na syntetyczny osąd problematyki kolorystycznej, występującej w tym jednostkowym obrazie jako założenie artystyczne.

Mocnym wyczuciem naturalizmu odznacza się „Pejzaż z kozami" Hieronima Maliny, malującego gęstymi sztrychami wycinek swojskiego krajobrazu o rozległej perspektywie i nucie bukolicznej. Motywy architektoniczne znanych kościołów zabytkowych w Dębnie i Harklowej oraz ulicy Kanonicznej w Krakowie Edmunda Szyfera odznaczają się świeżym spojrzeniem na dokumenty naszego budownictwa. Do tego samego gatunku należy „Wnętrze kościoła" Mariana Schwartza ujawniającego w „Martwej naturze" i „Pejzażu", jeszcze dość nieśmiało, tendencje antinaturalistyczne. Akwarele Alfonsa Chojnackiego należą chyba do anachronicznej umiejętności operowania rozlewnością plamy a także przebrzmiałej faktury, w których łatwe ślizganie się po powierzchni nie odtwarza natury przedmiotu i zjawiska, co występuje przez porównanie pejzażów („Nad wodą", „Na plaży") z konkretną architekturą („Fary krakowskiej"). Spokojne w swej obiektywizacji są: akwarela („Kościół Bożego Ciała") Adama Baryckiego i gwasz („Jaworzyna") Stanisława Bogusławskiego, upraszczającego motyw powściągliwie.

„Peonie" Wandy Chełmońskiej nie są szczęśliwie wybranym motywem o „secesyjnym" (z natury) wyglądzie splątanych gałązek. Przeciwstawić im można „Zeschłe kwiaty" Henryka Straburzyńskiego porządkującego realia na obrazie po malarsku a ze znacznym wyczuciem kolorystycznym, co można również przypisać „Kaczeńcom" i „Imieninowym kwiatom" Franciszka Wawrzyniaka.

Bernard Grzeszczak wykazuje w „Drodze przez wieś" duży wysiłek w kierunku odtworzenia zjawiska „świetlnej" impresji, jakim jest przesłoneczniona złotożółta ulica wiejska wśród chałup. Kontrastem byłby obraz „O zachodzie" Stefana Englera malującego smugami farby trudną do opanowania kolorystycznego tarczę słoneczną, rozpryskującą wielobarwność impresji.

Józefa Czarneckiego „Ekspress" jest niewątpliwie ryzykowną próbą schwytania na gorącym uczynku impresji ruchu, „Kolęda" zaś, jako kompozycja „na nutę swojską" nie przekonywa ani specyficznym nastrojem ani też teatralizacją formalną. Wdrażające się w pamięci świeżymi przeżyciami wojennymi tematy „Wyzwolenie Poznania" i „Ostatni atak na Cytadelę" Jana Kabacińskiego potwierdzają rzeczywistość ze stanowiska historyczno-ilustracyjnego, nie stwarzając w organizmie obrazów dramatycznego napięcia. Bezpretensjonalnym dokumentem jest akwarela zatytułowana „Barak IV w Głównej" Kazimierza Lisieckiego operującego swobodnie rysunkiem i lokalnym kolorytem.

Realistyczny „Autoportret" Alfreda Lenicy przeciwstawia się w sposób dość frapujący dwom innym obrazom tegoż artysty („Portret żony" i „Nalot"), w których „uproszczenie" motywu człowieka znalazło wyraz w konstrukcyjno-geometrycznych konturach i płaszczyznach i ma swą odrębną, choć niekoniecznie swoistą, wymowę statycznej zwięzłości. Zdzisława Eichlera „Portret córki" nie przekonywa fotograficznością wizerunku, natomiast „Wieczorem" tegoż artysty uznać można za sumienny obiektywizm w stosunku do świata rzeczywistości. W „Portrecie" Mariana Szmańdy, dopatrzeć się można dążenia do psychologicznego ujęcia wizerunku, pod względem malarstwa nie dość jeszcze skrystalizowanego.

W sztuce graficznej pierwsze miejsce na wystawie zajmuje drzeworyt mający 2 przedstawicieli: Franciszka Burkiewicza i Mariana Romalę, wykazujących w tej mozolnej a pełnej rozwagi i konsekwentnej technice dwa różne mówiąc syntetycznie „style", u pierwszego artysty przejawia się on w ujęciu linearnym, a więc w pewnej stylizacji kreski (np. „Polscy skazańcy", „Zaloty") czemu nie zaprzecza olejny obraz (pt. „Ruiny Chwaliszewa"), w którym pomimo „kolorowości" występują na jaw wybitne graficzne walory; u drugiego artysty, nastrojonego bardziej lirycznie (np. w drzeworytach pt. „Macierzyństwo", „Pastuszek", „Boże Narodzenie") znajdujemy więcej malowniczości a co za tym idzie pewną, choć dość powściągliwą, rozlewność w walorach biało-czarnej plamy. Rysunki węglem (portrety: „D. L. i „p. L. W.") Wilhelma Wieczorka, dające go również dość ekspresyjne prace olejne („Na stracenie", „Przy kotlinie") zaliczyć można do malarstwa w znaczeniu dość intensywnego nasycenia kolorem. Rysunki tuszem „(Don Kichot" I, II, III) Jana Grzegorzewskiego odznaczają się nie zawodzącą sprawnością w operowaniu „dynamiczną" kreską, budującą bryłę plastycznie i sugestywnie. Sumienne i interesujące jako tematy są prace piórem i węglem („Ważka", „W parku", „Pejzaż") oraz akwaforty i akwatinty Janiny Kahlówny, zaś „Teka pomorska" Ludomiły Lanżanki, opracowującej temat con amore i niemal dokumentarnie, ma w swym artystycznym wyrazie wiele ekspresji czysto graficznej.

Kartony witrażowe („Król Jagiełło i Jadwiga", „Warszawa") Stanisława Powalisza wydają się za surowe pod względem graficznym i kolorystycznym, kompozycyjnie zaś przypominają niekoniecznie godne naśladowania „wzory" ubiegłego wieku. Studzińska Anna przypomniała swymi batikami („Wspomnienia z Krzemieńca", „Ptaki", „Zabawa dzieci") trudną technicznie sztukę stosowaną, realizując w niej bardzo starannie wykonane motywy, acz stylizując nieco schematycznie pozbawiła je naturalnego wdzięku zwiewności, tkwiącej w samym materiale.

WACŁAW TARANCZEWSKI

AUTOPORTRET SANGWINA

F.A. Kirło-Nowaczyk

ŻONIE

Cegły rzucam w kwietne sady
w rosach stojąc po kolana
w słońce rośnie domu ściana
pod uwiędłym winogradem...

Czas wygrywam kielnią, pionem,
a nad planem pochylona
architektem moja żona,
kreśli gzymsy i pilony...

Niebo wsparte o sztachety
pogwizduje kosów gwizdem
żono, gościom gotuj izbę,
modraczkowe klej tapety...

SPRAWY BLIŻSZE I DALSZE

O WŁAŚCIWĄ OCENĘ ZJAWISK ARTYSTYCZNYCH

Nie będzie w tym przesady, jeśli obecny okres w rozwoju naszej kultury artystycznej nazwiemy czasami próby. Prawdą jest, że sztuka u nas w ostatnich latach rozwijała się do pewnego stopnia w oderwaniu od zjawisk światowych, ze nawet na własnym terenie artyści najczęściej pozostawieni byli sami sobie, mało tylko mając możliwości wzajemnego skonfrontowania swych osiągnięć. Pozbawieni dobrodziejstwa krytyki pisarze, plastycy, muzycy, albo trwali na dotychczasowych pozycjach, albo gubili się w poszukiwaniu nowego wyrazu artystycznego nie mogąc sprawdzić, jaki oddźwięk znajdą ich próby wśród szerszych warstw społeczeństwa. Stąd takie objawy, jak wyważanie otwartych już gdzie indziej drzwi przez zwolenników nowatorstwa, lub też cofnięcie się do wzorów klasycznych notowane u innych artystów.

W chwili obecnej charakterystyczne dla naszego życia artystycznego są kwestie następujące: przesunięcie się dotychczasowych ośrodków kulturalnych i powstawanie nowych, organizowanie nowego typu odbiorcy, tworzenie się zespołów i grup opartych na innych, niż dotąd zasadach, gdzie sprawy światopoglądowe ważniejsze są od artystycznych, dalej łącząca się bezpośrednio z tym zjawiskiem zmiana w nastawieniu krytyki, w której większe niż dotychczas zarysowały się przeciwieństwa i wreszcie gwałtowne uczenie się obcych wzorów — odrabianie kilkoletnich zaległości.

W tych warunkach sztuka najwięcej traci na skutek chaotycznego doboru środków wiodących do celu. Cel zaś, ku któremu zawsze się zmierzało i zmierzać będzie — to stworzenie własnej, silnej kultury artystycznej, posiadającej zastępy wybitnych twórców i jak najliczniejsze rzesze konsumentów. Zwrócić tu trzeba więc uwagę na ciągle jeszcze niedostatecznie rozwinięte zagadnienie krytyki i oceny osiągnięć artystycznych. Gdy np. w literaturze istnieje taka rozpiętość sądów, że obóz autentystów chłopskich nazywa czołowe dzieła poezji prekursorskiej „reportażykami lirycznymi", a tzw. „prekursorzy" utworom autentystów odmawiają w ogóle miana poezji — to stosunki wydają się nam już nieco niezdrowe.

Jasną jest rzeczą, że jednolitych, obiektywnych kryteriów dla oceny zjawisk z dziedziny sztuki nie da się nigdy uzyskać, jednakże koniecznym staje się właśnie w chwili skomplikowania się nurtów rozwojowych naszego życia kulturalnego, znalezienie środków ułatwiających choćby pewne wzajemne zrozumienie.

Ważne jest to przede wszystkim ze względu na powstawanie nowych środowisk artystycznych i ze względu na to, że do głosu dochodzą nowi, mało znani lub dotąd niedoceniani twórcy, których talent zdołał okrzepnąć w ubiegłych latach, wreszcie zaś ze względu na nowego konsumenta, który mniej niż kiedykolwiek przed tym bywa zorientowany w wartościach artystycznych. Tymczasem obecne warunki sprzyjają w ogromnej mierze powstawaniu rządzących się własnymi prawami koterii, prowadzą do zaściankowości i nawet do separatystycznych regionalizmów z jednej strony a do reklamiarstwa z drugiej strony. Wszystko to dzieje się oczywiście ze szkodą dla artystów i odbiorców.

Dlatego wbrew pojawiającym się gdzieniegdzie głosom, żądającym w pewnych wypadkach od krytyka pobłażliwości, kiedy indziej zaś usiłujących go pobudzić do surowszego osądu, wołamy o równą miarę w ocenie dzieł sztuki, bez względu na kierunek, style, światopoglądy, środowiska i inne podobne sprawy. Możemy najostrzej przeciwstawiać się stanowisku danego artysty, lecz nie wolno raz ignorować lub umniejszać osiągnięć rzetelnego twórcy, raz zaś windować na piedestał dzieło słabe odpowiadające nam wyrażonymi tam poglądami i kierunkiem artystycznym.

Tylko na tej drodze uniknie się chaosu w naszym życiu kulturalnym i prędzej oraz pewniej stworzy się sztukę powszechną i trwałą. Na to jednak trzeba dać równe szanse twórczości i popularności każdemu artyście i równe możliwości dostępu do wszelkich dzieł sztuki każdemu typowi odbiorcy. Eksperymentować mogą poszczególni twórcy, błędna krytyka wystawia zaś na próbę cały gmach naszej kultury. **Alk.**

ODPOWIEDŹ STRUSIOM

Omawiający ostatni zeszyt „Arkony" speaker studia toruńskiego raczył zwrócić w swych wywodach uwagę na dwie zasadnicze kwestie poruszone w tym numerze: na stan naszej literatury i myśli morskiej i pomorskiej (A. Kowalkowski — Pieśni niedosłyszane) i na stan naszej wiedzy o Pomorzu i jego ludności (J. Piechocki — Zacieśnianie więzi). Mimo, że autor powyższych uwag nie jest ani naukową, ani literacką powagą, należy jednak zająć się tą sprawą, choćby ze względu na licznych na pewno słuchaczy, których wprowadza się w błąd tego rodzaju wynurzeniami i ze względu na fakt, że rozumowanie takie, jakie zaprezentował nam speaker toruński jest typowe dla wielu niezorientowanych jeszcze należycie ludzi, którzy nie widzą albo nie chcą widzieć żywotnych zagadnień wymagających wspólnego frontu wszystkich uświadomionych czynników.

Nie bądźmy strusiami i nie unikajmy drażliwych niekiedy spraw udając, że one nie istnieją. J. Piechocki, naszym zdaniem miał rację, nie tylko bowiem przed wojną, ale nawet ostatnio stale się słyszy głosy o niemieckości ludności pomorskiej, a epitet „szwab" wobec Pomorzanina nie należy do rzadkości. Byliśmy świadkami takich publicznych odezwań się niejednokrotnie i nawet widzieliśmy jak milicja spisywała w takiej sprawie protokół właśnie w dniach, w których Bydgoszcz otrzymywała Krzyż Grunwaldu za walkę z niemczyzną. Ale mimo takich widomych świadectw niezłomnej polskości Pomorza, siew niezgody rzucony przez twórcę III grupy Forstera, jeszcze pokutuje. Walka z tym upiorem jest konieczna i unikający jej postępują źle. Chwasty trzeba wyplenić, a nie przykrywać ich ziemią.

Tak samo do niczego nie prowadzi gloryfikowanie naszej literatury i myśli morskiej. „Wiatr od morza" Żeromskiego — wspaniała zresztą powieść, która — nie przeczymy tego — wielu ludzi i pisarzy pozyskała dla spraw morskich, w zasadniczym swym schemacie stworzyła mimo wszystko szkodliwy kompleks Smętka. Ani Majkowski, który przeciwstawiał Smętkowi swego Remusa, ani Sychta i inni, kompleksu tego jeszcze nie przezwyciężyli w naszej opinii i walka o to musi trwać nadal.

Powoływanie się na obecne osiągnięcia, na miesięcznik „Wiatr od morza" — właśnie w chwili, gdy pismo to upadło z największą szkodą dla naszej marynistyki — zakrawa po prostu na śmieszność. Nawiasem mówiąc, trzeba lepiej się znać na sprawach, z którymi się występuje publicznie. Zwłaszcza, gdy stosuje się — w braku lepszych argumentów — przytyki i ataki osobiste, należałoby je opierać na uzasadnionych podstawach. Jesteśmy wprawdzie zdania, że chwyt ten powinien zniknąć z polemik kulturalnych, jeśli jednak temperament poniesie już jedną ze stron polemizujących, trzeba wiedzieć, że nic tak nie kompromituje, jak zarzuty nieświadomości, stosowane przez ignorantów. Autor „Pieśni niedosłyszanych" nie od dziś pisze o poezji i nie od wczoraj zna morze.

Trudno tu jeszcze raz powracać do tematu poruszonego przez Kowalkowskiego. Przytoczone przez niego przykłady chyba wystarczą.

Nasza poezja marynistyczna rzeczywiście stale jeszcze szwankuje i mało pomógł tu nawet gdyński „Wiatr od morza", uważny czytelnik dostrzeże bowiem, że cytowane przez Kowalkowskiego charakterystyczne banały poetyckie, to właśnie wyjątki z wiersza, ogłoszonego w ostatnim numerze tego miesięcznika.

Wbrew strusiom i tromtadratom walczymy nadal o przebudowę naszej psychiki i o niesfałszowane morze w naszej literaturze.

pzb.

RICHERTCZYZNA

Wejherowska „Zrzesz Kaszebsko" przynosi dość często artykuły, przed którymi czytelnik staje zakłopotany: Jak to rozumieć? Co o tym sądzić? Np. w n-rze 87 redakor naczelny, Brunon Richert, w artykule wstępnym pt. „Derdowszczyzna" pisze m. in.:

„Derdowski widział w kaszubszczyźnie tylko gwarę, zepsutą polszczyznę. Kultura kaszubska dla niego nie istniała. Był zdania, iż wartości kaszubskie trzeba zmienić na polskie. Derdowski nie widział przyszłości dla kasebjizne. Zabrakło mu wiary w sprawę kaszubską a ponadto uważał, że dla sprawy kaszubskiej już nievorto się trudzić, bo to sprawa przegrana. Sądził, że Kaszubi zatoną w otaczającym ich zalewie germańskim... Nam nie wolno pozwolić sobie na derdowszczyznę. Smutny, zapomniany los człowieka, który dał jej imię, dzwoni na przestrogę".

Po przeczytaniu tych zdań jesteśmy i zdziwieni i zgorszeni, gdyż na takie nieodpowiedzialne bałamuctwo i na takie bezpodstawne oskarżenie Derdowskiego nikt sobie jeszcze nie pozwolił. Niegdyś dr Fryderyk Lorenz (Niemiec) usiłował pomniejszyć Derdowskiego z tego powodu, że pisał rzekomo „polskie poezje narzeczowe w narzeczu nieistniejącym". Wtedy Lorenz spotkał się z ostrą odprawą ze strony Aleksandra Majkowskiego, który m. in. wyraził się: „Stąd też odmawianie kaszubskości utworom Derdowskiego muszę nazwać wprost niebywałym. Nigdy po nim bowiem nie pisano rzeczy tak wybitnie kaszubskich jak „Czorlińsci" i „Jasiek z kniei". Szczególnie ten ostatni może znawcę ducha ludu kaszubskiego bogactwem zwrotów rdzennie kaszubskich i treścią odzwierciadlającą ducha ludu wprost w zachwyt wprowadzić". (Gryf, 1910, nr 12). Lecz ob. Brunon Richert idzie w swoich oskarżeniach znacznie dalej niż Lorenz, nie dał się jak widać przekonać wywodom Majkowskiego.. Nie wie też ob. Richert, o czym nie tylko wie każdy Kaszuba, ale każdy światły Polak, że właśnie Derdowski w jednym zdaniu: „Nie ma Kaszub bez Poloni a bez Kaszub Polsci" ujął głęboki sens naszych dziejów, że — jak dalej wynika z jego pism — wcale nie przeceniał „zalewu germańskiego", że nie tracił wiary w przyszłość, boć do dzisiejszego dnia śpiewamy jego słowami: „Nigde do zgube nie przyńdą Kaszube..." itd. itd. To wszystko jest elementarz i każdy go zna, tylko nie zna go Bruno Richert, redaktor naczelny jedynej gazety kaszubskiej, „Zrzesze Kaszebskiej".

Przed paru miesiącami ogłosiłem w „Strażnicy Zachodniej" nr 4-5 artykuł pt. „Sytuacja na Kaszubach". O „Zrzeszy Kaszebskiej" napisałem:

„Inicjatywę pracy na Kaszubach przejęła obecnie grupka ludzi skupiona około pisma „Zrzesz Kaszubska". To, że już w październiku ub. roku Kaszuby zdobyły się na własne pismo, jest wydarzeniem wielkiej doniosłości dla tego terenu, pismo bowiem stało się automatycznie, ogniskiem skupiającym i promieniującym. Niefortunne jest tylko to, że tym pismem jest „Zrzesz Kaszubska", która swoje przedwojenne konto obciążyła tendencjami odśrodkowymi i która skompromitowała się choćby tym, że jej twórca i główny redaktor, Aleksander Labuda stał się w czasie wojny volksdeutschem. Dzisiaj przedwojennych tendencyj w tym piśmie nie ma, jednak w dalszym ciągu nie budzi ono zaufania; nie ma też wielkiego wzięcia wśród Kaszubów; posiada zresztą duże wady redakcyjne".

Ta ocena, aczkolwiek wstrzemięźliwa, bardzo a bardzo nie podobała się redaktorom „Zrzeszy", to też posypały się na jej autora insynuacje, pociski i to nawet z pogróżką „porachowania się po chłopsku", jeśli jeszcze raz waży się wglądać w sprawy kaszubskie. Mniejsza o taką z tej strony niewybredną reakcję, zastanawia jednak w niej jeden szczegół, mianowicie próba obrony Labudy, którego usprawiedliwiać ma to, iż rzekomo „miół bec razem z tima pod Svjonowem povjeszoni". A więc tak: wódz (za takiego L. chciał uchodzić) w obliczu śmierci ma prawo załamać się, przejść na stronę wroga i z nim razem walczyć (L. znalazł się potem w armii niemieckiej)... Na szczęście panowały i panują dotychczas inne przekonania o obowiązkach i moralności przywódców.

Jeszcze jeden przykład: W „Jantarze" ukazał się mój artykuł pt. „Straty kultury polskiej na Pomorzu". Bezpośrednio potem ob. Br. Richert zaczął w „Zrzeszy" drukować „Listę strat kultury kaszubskiej". Należy się cieszyć z takiego echa, boć po to się pisze, aby było echo. Ale redaktor „Zrzeszy" nie tylko zapomniał zaznaczyć źródło, skąd żywcem bierze większość pozycji, lecz nadto we wstępie sugeruje czytelnikowi swoją samodzielność: „Być może, iż w czasie jej druku uzupełnię ją nowymi nazwiskami, nowymi szczegółami..." itd. Każdy przyzna, że to nie ładnie tak postępować, na całym świecie panują bowiem inne obyczaje dziennikarskie. Ten wypadek nie jest zresztą jedynym w „Zrzeszy" przejawem skłonności do podbierania innych autorów.

Oto próbka „richertczyzny", ze stolca redaktorskiego „Zrzeszy Kaszebskiej" zionącej na zbiedzony wojną, umęczony a dobry w swej istocie lud kaszubski, który zawsze odżegnywał się i dziś odżegnuje się od tego rodzaju samozwańczych przywódców. Odczuwa to sam ob. Richert, kiedy we wspomnianym na początku artykule pisze z żalem: „Większość obojętnie i leniwie patrzy na poczynania g a r s t k i świadomych (!) Kaszubów, pragnących ludowi kaszubskiemu zbudować lepsze (!) jutro" (podkreślenie i wykrzykniki — moje).

Andrzej Bukowski.

P. S. W czasie druku powyższych uwag ukazał się numer 35 „Odrodzenia", w którym poddano krytycznej analizie ten sam artykuł red. Richerta. Moim zdaniem, autor tej analizy („jaszcz") przecenia nieco znaczenie działalności red. R., nie odzwierciadlającej bądź co bądź (poza „garstką") przekonań ogółu kaszubskiego. Niemniej — co do tego jesteśmy zgodni — usprawiedliwione jest zaniepokojenie spowodowane zjawiskiem „richertczyzny". **A. B.**

KRONIKI PRZEGLĄDY SPRAWOZDANIA

FESTIVALOWE IMPRESJE

Minęły już cztery dni od zakończenia uroczystości jubileuszowych i wielkiego festiwalu muzyki polskiej w Bydgoszczy. Z perspektywy tych czterech dni i kilkunastu kilometrów dzielących mnie w tej chwili od miasta, patrzę na Bydgoszcz, na nasze życie muzyczne, nasze niedole, troski, zrywy, osiągnięcia, upadki i triumfy... Wszystko wydaje się dalekie i nierealne w spokoju jesiennego wieczoru. Las pachnie żywicą, ptaki gaworzą sennie, tylko komary uwijają się wesoło. Znów żyję muzyką, lecz tą inną — „naturalną" — muzyką wiejskiego wieczoru, gdzie na fagotach grają gęgające gęsi, na klarnetach indyki i kaczki, a wiatr niesie na swych skrzypcowych strunach daleki głos dzwonu i urywane psie ujadanie...

Minęło zaledwie półtora roku, gdy wespół z Arnoldem Rezlerem jechaliśmy w słotny dzień wiosenny do Bydgoszczy, zastając jedynie niewyrażone pragnienia... Półtora roku, a Bydgoszcz urosła na miasto muzyki z pierwszorzędną orkiestrą symfoniczną, z wspaniałą salą koncertową, która wnet nie pomieści wszystkich melomanów, zjeżdżają do niej najwspanialsi muzycy, nad Brdą zapadają ważkie uchwały, mogące pchnąć muzykę polską na tory, wiodące ją ku świetności.

Wszystko zaczęło się z niczego. Garstka zapaleńców i nieprzebrane możliwości pracowitych Bydgoszczan. Mrówcza praca Zachodu z fantazją i uporem Wschodu (Polski, rzecz jasna) przyniosły to, co się nazywa: z d o b y c z.

Nikt nie wierzył, że można coś zrobić z Bydgoszczy. Warszawa kręciła głową niedowierzająco: „w Bydgoszczy?"... A jednak! Jednak Bydgoszcz zdystansowała wszystkie miasta pomorskie i wiele, bardzo wiele innych miast polskich. Sięgnęła po laury najpierwsze i choć są pewne zdobycze przejaskrawione, „rozdmuchane" — potrafi je ugruntować, umocnić, treścią zapełnić i po dalsze sięgnąć. Świeżość i młodość miasta to sprawiły, „dynamizm" i „fanatyzm" ludzi sztuki, pracowników rozmaitych jej ugorów, których imiona mnożone mogą być w dziesiątki... Literaci, plastycy, historycy sztuki, architekci, urbaniści, aktorzy, muzycy, ojcowie miasta — ci, którym władzę w rękę dano i ci, co do władców po pomoc i opiekę przychodzą, by na swej niwie imperium budować. To chyba i wszystko, jeśli o poezję osiągnięć chodzi...

Przejdźmy do faktów.

Pięć jest faktów najwspanialszych w naszych osiągnięciach omawianego okresu: 1) orkiestra symfoniczna, 2) koncerty najpierwszych muzyków polskich w Bydgoszczy, 3) I Zjazd Śpiewactwa Pomorskiego, 4) Zjazd Komisji Programowej Szkolnictwa Muzycznego, 5) Festiwal Muzyki Polskiej.

O r k i e s t r a S y m f o n i c z n a! Jakże szczęśliwie się stało, że nikt inny, a właśnie Arnold Rezler został dyrektorem programowym Polskiego Radia Rozgłośni Pomorskiej. Muzyk przedni, siedzący tyle lat przy pulpitach różnych orkiestr — wreszcie sam dyrygent, za punkt honoru postawił stworzenie zespołu radiowego w Bydgoszczy. Rozporządzając możliwościami; moralnymi i materialnymi, mając zrozumienie i poparcie dyrektora Rozgłośni, w pewnej mierze wbrew dyrektywom centralnym, stwarza zespół, który w niedługim czasie wchodzi na falę ogólnopolska, zjednując sobie powszechne uznanie. L'appétit vient en mangeant. Zespół się rozrasta. Występ w Sali Kopernika, potem w O. K. Z. Z. i wreszcie grudzień 1945, czy styczeń 1946 r. skromny gabinet przy ul. Długiej w Miejskim Wydziale Kultury i Sztuki. Konferencja w Komitecie 600-lecia, kilku muzyków, zaproszonych do rozpisania konkursu na hejnał m. Bydgoszczy. Skromne pytanie jednego z uczestników pod adresem świeżo zawiązanego Komitetu, czy nie dałoby się zorganizować cyklu koncertów w ramach jubileuszu, zakończonych festiwalem muzyki polskiej? Odpowiedź pada dość ożywiona: „Świetnie, muszę się tylko porozumieć z prezydentem Twardzickim". Nazajutrz odpowiedź pozytywna. Niewinny zespół członków jury konkursowego na hejnał przeistacza się w sekcję muzyczną Komitetu. Targi o wysokość subwencji... Pozytywne załatwienie, chociaż w bardzo skromnych rozmiarach; budżet czteromiesięczny nie przekracza trzeciej części dotacji miesięcznej Filharmonii Bałtyckiej... Lecz nic to! Entuzjazm rośnie, zapała wszystkich muzyków. Pierwsze próby, żmudne, długie próby... Wreszcie otwarcie sali koncertowej Pomorskiego Domu Sztuki: akademia 600-lecia: orkiestra akompaniuje Stanisławowi Szpinalskiemu w koncercie f-moll Chopina. To bardzo dobre! Szpinalski nie szczędzi komplementów. Wreszcie I Koncert Symfoniczny. Solista: rektor Drzewiecki. I znów słowa uznania, obietnica poparcia w Ministerstwie. W orkiestrze zaś samej wre praca. Praca uciążliwa. Rezler jest świetnym wychowawcą. Nie rzuca się na wielki repertuar. Stopniowo zdąża do celu. Pracuje osobno nad blachą, nad drzewem, smyczkami... Każdy następny koncert — to nowa zdobycz. Zgranie coraz lepsze, pewniejsze. Soliści zachwyceni. Ministerstwo tylko milczy... Nasze indagacje nie odnoszą skutku. Twardy jednak upór, fanatyzm, młodzieńczy zapał nie gasną. Praca wre dalej. Zbliża się Festiwal... Rękawy zakasane po łokcie. To wszak egzamin, próba ogniowa, Górzyński... Repertuar trudny, nowoczesny... Jak wybrniemy?! Zjeżdżają muzycy najprzedniejsi z całej Polski — słuchają. I oczy im się otwierają. To zespół pierwszorzędny! Jeden z pierwszych w Polsce. Wypowiedzi padają z ust takich, jak prezesa Zarządu Głównego Zw. Zaw. Muzyków R. P., prezesa Zw. Kompozytorów, przewodniczącego Centr. Komisji Artystycznych Związków Zawodowych, urzędowych osób Ministerstwa Kultury i Sztuki, rektorów Wyższych Szkół Muzycznych, artystów najlepszych — fachowców, jakim par excellence np. jest dyrektor państwowej filharmonii...

Oto co może zrobić zapał i wytrwałość „filharmoników" i ich dyrygenta. W niedługim czasie Miejska Orkiestra Symfoniczna w Bydgoszczy z pewnością zostanie przemianowaną na Państwową lub Miejską Filharmonię Pomorską z Arnoldem Rezlerem, jako jej dyrektorem na czele — ku chlubie Pomorza i Polski, ku radości wszystkich miłujących muzykę — jako zalążek ośrodka muzycznego, pojmującego najsprawniej i najgłębiej treść, istotę muzyki i artyzmu.

W parze z orkiestrą symfoniczną szły koncerty, zrazu finansowane przez Komitet 600-lecia, po tym samowystarczalne, aranżowane przez Centralne Biuro Koncertowe Zw. Zaw. Muzyków R. P. Okręg Pomorski w Bydgoszczy w ramach 600-lecia. Bydgoszcz, jak długo istnieje, nie miała takiego naporu dobrej muzyki. Przez piękną salę koncertową przewinęły się tysiące bydgoszczan, słuchających niejednokrotnie aż trzech koncertów tygodniowo. Występowali artyści tej miary, co: St. Askenase, M. Bilińska-Riegerowa, D. Danczowski, Zb. Drzewiecki, I. Dubiska, J. Garda, Zdz. Górzyński, O. Iliwicka, R. Koczalski, Kwartet Polski, Kwartet Szymanowskiego, W. Niemczyk, A. Szlemińska, St. Szpinalski, H. Sztopmka, E. Umińska, K. Wiłkomirski, że pominę wielu, wielu innych... W parze z koncertami szło zrozumienie muzyki i jej umiłowanie. Artyści wyjeżdżali pod urokiem Bydgoszczy, pięknej sali, fortepianu, muzycznego „entourage'u", roznosząc imię Bydgoszczy, jako ośrodka muzycznego daleko i szeroko.

Dla samej zaś Bydgoszczy była to jednak zdobycz największa. Bydgoszcz umuzykalniała się, zaczynała rozumieć nie tylko dawną, uznaną muzykę, ale i nowoczesną. Przestała być karmiona wyłącznie muzyką niemiecką, choćby nią była... „Eine kleine Nachtmusik", zaczynała odczuwać czar szerokiego — światowego oddechu. Pierś zaczynała wdychać odżywczy wiew dalekich mórz, krajów wiecznie zasypanych śniegiem... zaczynała tętnić krwią walk, bólów i cierpień ogólnoludzkich.

To też coś znaczy!

I Pomorski Zjazd Śpiewaczy w dniach 9 i 10 czerwca 1946 r. Była to potężna manifestacja pieśni polskiej! Tłamszona i zohydzana przez najeźdźcę, przetrwawszy lata straszliwej okupacji, — wyszła triumfalnie z ukrycia po raz pierwszy, po latach nieustannej „krwawej niedzieli" — manifestując ustami blisko 2.000 śpiewaków, zgrupowanych w blisko 40 chórach, że jest, że istnieje i istnieć będzie!

Wielkie to było święto, tym bardziej miłe dla muzyków, że szereg produkcji, trwających dwa dni z rzędu stał na prawdziwie wysokim poziomie. Jest to objaw nad wyraz pocieszający. Pieśń — najbardziej zrozumiała forma muzyczna — stanowi podwalinę pod gmach Muzyki, przez wielkie „M". Nie było chórów słabych, podkreślał to również nestor śpiewactwa polskiego, przybyły na Zjazd, prof. W. Łachman. Dyrygenci i chórzyści dali maksimum swych możliwości. Głosy wyrównane, czysto brzmiące, dynamika i frazowanie więcej niż poprawne. Zasługa to Pomorskiego Zw. Śpiewaczego i jego prezesa inż. Marc. Kadleca, niestrudzonego bojownika w tej dziedzinie. Cóż za zdobycz przyniósł nam wszystkim Zjazd Śpiewactwa Pomorskiego? Rozkochał nas w pieśni. Bydgoszcz i Pomorze lubią śpiewać. Jest to pierwszy dzwonek do stworzenia reprezentacyjnego chóru Pomorskiego przy Pomorskiej Filharmonii. A wtedy pójdą na estradę najcudowniejsze oratoria IX Symfonia Beethovena itd... Przez pieśń do muzyki!

Osiągnięcia Zjazdu Komisji Programowej Szkolnictwa Muzycznego przy Min. Kultury i Sztuki podajemy na innym miejscu. Tu chcę jedynie podkreślić ważność dla Bydgoszczy i Pomorza tego Zjazdu. Raz, że gościliśmy u siebie muzyków — fachowców najlepszych z całej Polski. Pokazaliśmy nasze zdobycze i na co nas stać. Poznaliśmy ich — oni nas i... zżyliśmy się z nimi. Jeszcze przed miesiącem byliśmy niemal nikomu nieznani, ledwo tolerowani, niedoceniani. Stosunek ten uległ radykalnej zmianie, gdyż przekonali się nasi najmilsi goście, że coś jednak w muzyce i my możemy zrobić. Weszliśmy więc w rodzinę muzyczną kraju nie jako bracia przyrodni, lecz najrodzeńsi, z tej samej ulepieni krwi i kości, o tych samych dążeniach i umiłowaniach, że klimat muzyczny u nas panujący jest zdrowy, odpowiedni na wzrost roślin muzycznych najczulszych, jakimi są młode talenty. One i u nas mogą wzrastać w atmosferze ciepła i czułości. Przekonali się dalej, że jesteśmy dobrze traktowani przez nasze władze wojewódzkie i municypalne, że nigdzie bodaj w Polsce nie ma tak wspaniałego stosunku władz do poczynań muzycznych, jak u nas. Bo gdzie znajdziecie prezydenta miasta niemal na każdym koncercie?! A to warte podkreślenia, zanotowania... Przykład idzie z góry! Właśnie ta życzliwość, ciepło i pomoc, okazywane w miarę możliwości, ta chęć przede wszystkim najszczersza, olśniła uczestników zjazdu.

I wreszcie Festiwal — w dn. 26 — 31. VIII. 1946 r. Ś w i ę t o M u z y k i P o l s k i e j. Najbogatsze święto muzyczne kraju ostatniego sezonu. Pierwsze w dziejach Bydgoszczy Święto Muzyki Polskiej. Były to czarowne dni, niezapomniane... Jeden wielki koncert-monstre, rozłożony na sześć dni. Program misternie ułożony, trudny lecz wspaniały. Właśnie tu swe triumfy największe zdobyła nasza młoda orkiestra: pierwszego i ostatniego dnia.

Pierwszy dzień Festiwalu poświęcony był muzyce symfonicznej. Orkiestrą dyrygował Arnold Rezler. Solistką wieczoru była znakomita Irena Dubiska. Poza znaną uwerturą do opery „Królowa Jadwiga" Kurpińskiego i poematem symfonicznym „Śmierć Elenai" Nowowiejskiego — wybornie zagranymi przez orkiestrę, oczy i uszy obecnych zwrócone były na nowoczesny utwór Piotra Perkowskiego: „Sinfonietta". Jest to utwór trzyczęściowy, oryginalny, wspaniale zinstrumentowany, o przewadze drzewa, blachy i perkusji. Pierwsza część, nosząca znamiona

MIEJSKA ORKIESTRA SYMFONICZNA POD DYR. A. REZLERA WYKONUJE PROGRAM PIERWSZEGO DNIA FESTIWALU W SALI KONCERTOWEJ POMORSKIEGO DOMU SZTUKI

głęboko odczuwanego piękna, jest poważna i nobliwa. Bardzo liryczna, elegancka w swej prostocie, melancholijna jest cz. druga. Trzecia natomiast lśni humorem i perłami dowcipu. Potraktował ją kompozytor jak kanon, oparty na drugiej części popularnej piosenki „Łączko, łączko...". Publiczność słuchała „Sinfoniettę" z żywym zainteresowaniem, tym bardziej, że A. Rezler poprowadził ją z ogniem, z szerokim oddechem i precyzyjnie. Był to pierwszy egzamin orkiestry i dyrygenta, zdany cum laude. P. Perkowskiemu, obecnemu na sali, publiczność zgotowała długo niemilknącą owację.

W II cz. koncertu I. Dubiska z ogniem, polotem i nadzwyczajną precyzją tonu odegrała koncert skrzypcowy A-dur Karłowicza. Orkiestra akompaniowała b. dobrze. Rozentuzjazmowana publiczność nie chciała wypuścić solistki bez licznych naddatków (doskonale akompaniował T. Kurczewski). Poemat symfoniczny „Tatry" W. Zeleńskiego, wspaniale odegrany przez orkiestrę, zakończył dzień pierwszy festivalu.

Drugiego dnia wystąpiła z recitalem śpiewaczym Aniela Szlemińska. Mamy tu do zanotowania trzy pierwsze wykonania pieśni trzech kompozytorów polskich: Tadeusza Szeligowskiego: „pieśni do słów I. Iwaszkiewicza", Witolda Rudzińskiego: „Balladę o Janosiku", przy akompaniamencie obecnego kompozytora, którego publiczność żywo oklaskiwała, oraz Jerzego Gaczka: „Oj ty lito...". Odbyły się więc na naszej bydgoskiej estradzie trzy „prapremiery". Pozatem A. Szlemińska odśpiewała szereg pieśni Galla, Młynarskiego, Noskowskiego, Żeleńskiego, Lipskiego, Nowowiejskiego, Marka, Perkowskiego, Szymanowskiego i Nawrockiego przy licznych naddatkach. Znakomitej pieśniarce akompaniował z dużą kultura Edmund Rezler. Głos Szlemińskiej jest naprawdę wspaniały. Jak szlachetna interpretacja, jak wielka umiejętność władania głosem. Był to jeden z najpiękniejszych wieczorów wokalnych w Bydgoszczy. A program nie był łatwy, owszem wymagał od słuchaczy dużej kultury muzycznej przy takich pieśniach jak T. Szeligowskiego, znakomicie nadających się do zinstrumentowania na mały zespół orkiestrowy, warto też je nagrać na płyty, właśnie w A. Szlemińskiej wykonaniu. Obok „Pieśni Zielonych" — są to najpiękniejsze pieśni Szeligowskiego. „Ballada o Janosiku" W. Rudzińskiego jest utworem b. oryginalnym, rodzajowym, pisanym z wielkim znawstwem rzemiosła.

Trzeci dzień festiwalu poświęcony był muzyce kameralnej. Koncertował reprezentacyjny Kwartet polski im. K. Szymanowskiego w składzie: Irena Dubiska, młodziutka laureatka Eliminacyjnego Konkursu Warszawskiego Wanda Wiłkomirska, Mieczysław Szaleski, i Kazimierz Wiłkomirski. W ich wykonaniu usłyszeliśmy dwa koncerty: K. Szymanowskiego, op. 37 oraz K. Wiłkomirskiego z r. 1942. Powstał on właściwie w r. 1941 w Warszawie, pisany dosłownie na kolanie, między jednym tangiem a drugim. Wiłkomirski bowiem, jak większość naszych najznakomitszych muzyków, zmuszony był zarabiać na kawałek chleba grą w kawiarniach. Pierwsze wykonanie kwartetu odbyło się w marcu 1942 r. w kawiarni Woytowicza. Utwór pozbawiony jest podkładu literackiego, nosi jednak cechy dramatyczne, nie pozbawione „obrazowości", zwłaszcza w II cz. B. oryginalna jest cz. III, Allegro con fuoco, tętniąca buntem i wolnością. Oba kwartety zagrane były z wyjątkową maestrią. W prawdziwy podziw wprawił wszystkich słuchaczy Kwintet Juliusza Zarębskiego, zagrany z pianistką Marią Wiłkomirską, który nic nie stracił na świeżości pomimo 60 lat od napisania. Przepełniona sala Pomorskiego Domu Sztuki nie chciała wypuścić świetnego zespołu bez „bisu". Usłyszeliśmy raz jeszcze brawurowe „Scherzo" z Kwintetu. Przypuszczam, że wszyscy słuchacze rozkochali się po tym wieczorze w muzyce kameralnej.

Czwartego dnia festiwalu koncertował słynny szopenista Henryk Sztómpka. Wyraźnie w doskonałym nastroju, szczególnie w II cz. recitalu i naddatkach, zdobył sobie H. Sztompka zupełnie publiczność bydgoską. Nadzwyczajna finezja i subtelne wczucie się w dzieła genialnego mistrza sprawiły, że wieczór przeszedł pod znakiem głebokich przeżyć, o czym świadczy chociażby fakt nie ruszenia się z miejsc publiczności pomimo przerwy.

Piątego dnia koncertował wspaniały wiolonczelista K. Wiłkomirski przy współudziale pianistki Marii Wiłkomirskiej. Usłyszeliśmy dwa, jakże rzadko grywane, utwory Chopina: Introdukcję i polonez C-dur, op. 3, oraz Sonate wiolonczelową g-moll, op. 65. (Oba utwory zagrane przez rodzeństwo z pamięci!). Oprócz tego usłyszeliśmy Szymanowskiego (w opr. Kochańskiego) Pieśń Roksany, trzy utwory K. Wiłkomirskiego, Szeligowskiego „Orientale", Maklakiewicza II cz. koncertu wiolончz. W naddatkach zaś Młynarskiego „Mazur", Moniuszki Polonez z op. „Halka" i Chopina Nokturn Es i Walc cis. Wiłkomirski bezsprzecznie góruje nad swymi kolegami śpiewnością tonu i nadzwyczaj precyzyjną techniką.

Wreszcie ostatni dzień festiwalu znów poświęcony utworom symfonicznym. Dyrygował dyr. Państw. Filharmonii w Łodzi Zdzisław Górzyński, solistą był Stanisław Szpinalski. Był to czarowny wieczór. Zdzisław Górzyński rasowy, rozumny dyrygent, o ogromnym temperamencie i „świętym" ogniu, wykrzesał maksimum z naszej orkiestry. Grała też ona, nie przymierzając, jak jaka najlepsza orkiestra filadelfijska, czy londyńska. Wprost wierzyć się nie chciało, że to właśnie nasza -- bydgoska orkiestra, tymczasem właśnie ona zdobyła tego wieczoru „dyplom mistrzowski". Usłyszeliśmy Moniuszki uwerturę do op. „Paria", Ogińskiego-Palestra „Polonezy", Palestra „Pieśń o ziemi" (tańce weselne), utwór mocny, lśniący tęczową barwą najrozmaitszych pomysłów i efektów, o zwartej konstrukcji i wielkiej potędze wyrazu. To przecież nowoczesny, całkiem nowoczesny utwór, a jakże przypadł do gustu słuchaczom! A więc i „nowa" muzyka może być piękna, jest wszak wyrazem epoki, jest jej obliczem, — trzeba się tylko w nią wczuć i ją zrozumieć. Wreszcie koncert fortepianowy Tad. Szeligowskiego, pisany w Wilnie w czasie okupacji. Jest to jeden z najpiękniejszych koncertów polskich doby obecnej. Zagrany był bezkonkurencyjnie przez St. Szpinalskiego. Szpinalski jest pianistą nawskroś nowoczesnym, tętniącym temperamentem, życiem i wyrazem. Jako naddatki odegrał znakomity pianista Andante z Sonaty Kasserna i Sonatinę Szeligowskiego — utwory b. piękne. Publiczność długo oklaskiwała wykonawców za ich produkcje.

Skończył się Wielki Festival Muzyki Polskiej, otwierający dla szczelnie zapełniającej salę koncertową przez wszystkie 6 dni, publiczności nowe horyzonty, nowe widnokręgi... Dla Bydgoszczy rozpoczął się nowy dzień, jak nowy dzień wstał we wsi, z której piszę dla „Arkony". Rozradowana słońcem ziemia, las i jezioro znów tetnią życiem. Szosą mkna auta, po szynach stalowe rumaki unoszą ludzi do miasta na pracę, orkę i znoje. Wnet i mój list uniesie poczta...

Jerzy Jasieński.

O nowe szkolnictwo muzyczne

Chcąc zrozumieć genezę i cele Komisji Programowej Szkolnictwa Muzycznego trzeba cofnąć się myślą o rok wstecz. Dnia 7 grudnia ub. roku dekretem ministra kultury i sztuki zatwierdzony został nowy ustrój szkolnictwa muzycznego w Polsce.

Nowy ustrój wprowadził w dotąd panujący chaos system w istocie najpełniej odpowiadający potrzebom życia muzycznego w kraju. Dekretem tym ustanowiono dwa oddzielne i niezależne od siebie typy szkolnictwa: zawodowe (tzw. Niższa, Średnia i Wyższa Szkoła Muzyczna) i niezawodowe (tzw. Szkoły Umuzykalniające). Przy dotychczasowym stanie rzeczy kandydat na muzyka zawodowego zmuszony był chodzić do tzw. Konserwatorium razem z uczącym się muzyki „tylko dla siebie", zwykle wiele mniej uzdolnionym, hamującym pracę nauczyciela, a tym samym i postępy zdolnego ucznia. Dla odbiorcy muzyki (nie wykonawcy czy twórcy) cały szereg przedmiotów tak teoretycznych, jak i praktycznych, trwających całymi latami był zwykle całkowicie zbędny, gdy np. obecnie, wystarczające dla niego opanowanie techniki fortepianowej zdobyć może w szkole typu „umuzykalniającego". Szkoła ta, przez „lekcję słuchania muzyki" wychować ma nie twórców i odtwórców, a o d b i o r c ó w muzyki. Oczywista, że nie ogranicza się tutaj wieku słuchaczy, podczas gdy tego rodzaju ograniczenie zrozumiałe i konieczne jest w zawodowych szkołach muzycznych.

„Szkoła Niższa" trwająca 5—7 lat jest Szkołą zawodową. Naukę rozpoczyna się w 7. do 9. roku życia (szkoła dla dzieci). Zadaniem jej jest przygotowanie zdolniejszych uczniów dla Szkoły Średniej. Zrozumiałym jest, ze nie wszyscy uczniowie Szkoly Niższej czy to ze względu na mierne zdolności lub też z innych przyczyn będą mogli być przyjęci do Szkoły par excellence fachowej, jaką jest Szkoła Średnia. Zadaniem Szkoły Średniej jest wyszkolenie dobrych muzyków dla orkiestr, pianistów, śpiewaków, organistów i pedagogów dla Szkół Niższych i Średnich. Najzdolniejsi muzycy po ukończeniu Szkoły Średniej mogą doskonalić się w kilkuletniej Szkole Wyższej. Szkoła ta dostarczyć ma wybitnych teoretyków, kompozytorów, wirtuozów, dyrygentów i pedagogow. W sumie (trzy szkoły) nauka trwa dłużej niż w dawniejszych Konserwatoriach, lecz nie znaczy to, by uczeń zdolny nie mógł ukończyć studiów w okresie znacznie krótszym. Podobnie zresztą i ograniczenie wieku nie dotyczy uczniów wybitnie zdolnych.

Tak zorganizowane szkolnictwo siłą rzeczy wymaga nowego programu i nowych sposobów nauczania. W tym to celu Wydział Szkolnictwa Muz. przy Min. Kultury i Sztuki powołał Komisję Programową, złożoną z najlepszych fachowców-pedagogów z całej Polski. I tak powstały sekcje: teorii, fortepianu, instrumentów smyczkowych, instr. dętych, śpiewu solowego, szkół umuzykalniających, kształcenia nauczycieli dla szkół ogólnokształcących oraz tańca artystycznego (przeniesiona ostatnio do resortu Teatrów). Nie zostały dotychczas utworzone sekcje: kompozycji i organowa. Poszczególne sekcje pracowały już od przeszło roku (na ich opinii oparł się minister kultury i sztuki, ogłaszając dekret o nowym ustroju szkolnictwa muzycznego) i przedłożyły już swego czasu projekty programów, które zostały rozesłane do Szkół Muz. w całym kraju celem ich zaopiniowania.

Zjazd, który w dniach od 26 do 28 sierpnia br. miał miejsce w Bydgoszczy (wybranej na ten cel z uwagi na odbywający się w tych dniach festival, jak i na wielką przychylność i gotowość poniesienia związanych z tym trudów przez czynniki miejskie) — miał na celu zestawienie dotychczasowych osiągnięć pracy poszczególnych sekcji, jak i wysunięcie — po należytej wymianie poglądów — wniosków ostatecznych.

W pierwszym dniu plenarnego posiedzenia, po wprowadzeniu w tok założeń ogólnych i zasadniczych przeprowadzanej reformy ustroju, przewodniczący sekcyj podali do ogólnej wiadomości wyniki ich rocznych prac. W drugim dniu obrad w obrębie poszczególnych sekcji przepracowywano zgłoszone zarzuty i poprawki wysuwane pod adresem projektowanych programów, by trzeciego dnia, po dyskusji na „plenum" ustalić ostateczną redakcję programów. Nie wszystkim sekcjom udało się jednak sfinalizować swe prace. Działalność sekcyj: teorii, umuzykalnienia, śpiewu solowego i fortepianu będzie musiała zostać przedłużona.

Obradom przez cały czas ich trwania towarzyszyła niezmiernie przyjemna, pełna entuzjazmu atmosfera. Jak przysięga brzmiały oświadczenia, że członkowie sekcyj są głęboko przekonani o celowości, a tym samym o konieczności utrwalenia reformy szkolnictwa muzycznego w Polsce. Wszyscy zdają sobie doskonale sprawę z trudności, jakie zrealizowaniu reformy będą towarzyszyć, lecz niemniej, przekonani o słuszności sprawy uważają za konieczne przerwanie działalności bezkształtnych i bezobliczynych szkół dawnego typu.

Plenarne posiedzenie Komisji Szkolnictwa Muzycznego w Bydgoszczy nie zawiodło nadziei polskiego świata muzycznego, realizując plany — akceptowane już przez Karola Szymanowskiego. W nas samych leży wypełnienie schematu reformy — żywą treścią.

F. Wesołowski.

ZE ZJAZDU KOMISJI PROGRAMOWEJ SZKOLNICTWA MUZYCZNEGO W BYDGOSZCZY

Na zdjęciu m. inn.: nacz. J. Miketta; prof. prof. dr A. Chybiński, I. Dubiska, ks dr H. Felcht, J. Jasieński, Wł. Raczkowski, Ada Sari, M. Sobieski, K. Sikorski, Z. Sitowski, M. Szaleski; dr J. Życzkowski; dyr. dyr. Jahnkowie, Rudziński, A. Taube, K. Wiłkomirski.

TORUŃ ARTYSTYCZNY

Rysował JÓZEF MAŚLIŃSKI

TEATR:
DYR. WILAM HORZYCA

PLASTYKA:
PROF. BRONISŁAW JAMONTT

LITERATURA:
PROF. KONRAD GÓRSKI

Życie literackie Torunia

Tak się złożyło, że literaci toruńscy wciąż jeszcze sa „ludźmi bezdomnymi". Jak dotąd, żmudne starania o stały lokal były daremne. Po kolei wymykały się z rąk różne obiekty, mniej lub więcej odpowiednie: w Dworze Artusa stworzono Robotniczy Dom Kultury, przenosząc tu m. in. Miejską Czytelnię Ludową; Strzelnicę, po dawnym Bractwie Kurkowym, przydzielono Więźniom Politycznym. Przeciw tak celowym przydziałom nie wypadało protestować; jako jedyne wyjście pozostało — wytrwale oglądać się za czymś innym. W tej chwili jest do dyspozycji jedynie tzw. Piwnica Gdańska w podziemiach Ratusza Staromiejskiego. Niestety, przystosowanie Piwnicy do celów Klubu Literacko-Artystycznego pochłonęłoby takie sumy, że z bólem serca trzeba odłożyć sprawę „ad calendas".

Tymczasem korzysta Klub nadal z gościny Uniwersytetu. W auli uniwersyteckiej, w gmachu Collegium Maius, odbywają się nasze czwartki już od końca stycznia, tak że możnaby mówić o pewnym zadomowieniu się, gdyby nie panujaca tu dziwnie chłodna atmosfera. Wina to niefortunnego projektodawcy z czasów pruskich, który ścianę północną sali rozwidnił ogromnymi oknami w sposób przeczący wszelkim zasadom estetyki.

Mimo to nasze czwartki udają się, szczególnie, kiedy i temat i ujęcie stwarzają bezpośredni, żywy kontakt między mówcą i słuchaczami. Mieliśmy tego dowód na pierwszym czwartku wiosennym, 27-ym z kolei (28. 3.). Anna Ludwika Czerny mówiła o „Wartościach żywotnych francuskiego średniowiecza", lecz stosunkowo wąskie ramy zakreślone przez tytuł odczytu rozszerzył sam przedmiot. Ogromne bogactwo szczegółów złożyło się na pełny obraz kultury średniowiecza francuskiego zarówno duchowej jak i rzeczowej. Umiejętnie rozmieszczone światła i cienie uwydatniły osiągnięcia Francji w tej epoce, której Polska właśnie za pośrednictwem francuskim tyle zawdzięcza.

Gość z Poznania, prof. Roman Pollak, wypełnił następny czwartek (4. IV.) odczytem „O człowieku wiecznym u Mickiewicza". Właściwie był to rys historyczno-filozoficzny odwiecznego — ideału obywatela patrioty w Polsce, ideału wychowawczego i twórczego. Jak się ucieleśnił ten ideał u dawniejszych pisarzy, np. u Reja, Starowolskiego, Staszica, i jak znalazł skończony wyraz w koncepcji człowieka wiecznego u Mickiewicza, o tym mówił prelegent w właściwy sobie, ujmujący sposób.

Aktualne zagadnienia stosunku inteligencji do włościaństwa, chłopa do kolonizacji niemieckiej i inne poruszył prof. Zygmunt Szweykowski z Poznania (23. V.) w prelekcji „O Placówce Prusa". Rzecz tak bliska starszej generacji zaktualizowała się i dla młodzieży akademickiej, która — jak zazwyczaj w czwartek — wypełniła salę po brzegi. W chwili, gdy wieś polska przeżywa zasadnicze przemiany, wskazanie podłoża psychicznego i społecznego „Placówki" i jej wartości dla świata współczesnego miało znaczenie gromkiej pobudki. Prus jako znawca duszy chłopskiej znalazł tu po raz pierwszy wnikliwą ocenę.

Ostatni przedwakacyjny czwartek (6. VI.) był poświęcony specjalnemu zagadnieniu literackiemu. Prof. Tadeusz Makowiecki w swym odczycie pt. „Silviludia" Sarbiewskiego — Spór o zabawy leśne" — na tle obrazu epoki zaznajomił słuchaczy z postacią poety polsko-łacińskiego i z jego niemal zapomnianym poematem „Silviludia". Stary barokowy utwór, podany we wzorowym tłumaczeniu, nabrał życia i rumieńców. Spór dwóch uczonych współczesnych, prof. Ganszyńca i prof. Sinki, o wartość utworu pozostawił mówca do rozstrzygnięcia publiczności. Niewątpliwie oryginalna pointe'a odczytu, jak np. również stwierdzenie, że dotąd dwa tylko utwory literatów polskich „umiędzynarodowiły się": „Ody" Sarbiewskiego i „Quo Vadis" Sienkiewicza.

Marian Sydow

Z plastyki

Pierwszy rok działalności Wydziału Sztuki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika został zamknięty wystawą prac uczniów, których liczba przekroczyła pół setki.

Pokaz ten jest nie tylko świadectwem pracy młodzieży, ale przede wszystkim wysiłku profesorów, którzy w nowych warunkach, walcząc z licznymi trudnościami zewnętrznymi, tworzą studium oparte o rzetelne i trwałe podstawy.

Na czele pracowni malarstwa stalugowego stanęli profesorowie dawnego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie: prof. Tymon Niesiołowski i prof. a zarazem dziekan Wydziału, Bronisław Jamontt, znani jako wytrawni pedagodzy i wybitni artyści o dużej indywidualności, oraz prof. Jan Wodyński wychowanek, a następnie wykładowca Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Ćwiczenia rysunku, przedmiot tak nieodzowny i tak ważny prowadzi prof. Dargiewicz, projektowanie brył i płaszczyn prof. Narębski, który wykłada nadto jeszcze naukę o stylach i zabytkach sztuki, których piękno uczniowie utrwalają w studiach rysunkowych i malarskich. Studium grafiki uruchomione najpóźniej prowadzi prof. Jerzy Hoppen z Wilna, rzeźbę — prof. Stanisław Horno-Popławski.

Najokazalej pod względem ilościowym a również i jakościowym przedstawiała się prace z zakresu malarstwa: są to akty, próby studiów portretowych, martwa natura i pejzaż. Widać tu przełamywanie trudności w opanowywaniu formy linii, kształtu, wyrazu i barwy. Widać dążenie do samodzielniejszych rozwiązań.

W notatce też z umysłu nie wymieniam nazwisk uczniów, aczkolwiek kilkanaście prac wyróżnia się poziomem, gdyż wydaje mi się to przedwczesne i dydaktycznie niesłuszne. Przed Wydziałem Sztuk Pięknych i jego profesorami wszystkich specjalności, jego uczniami, staje otworem wielkie pole działalności. Polska czeka na dobrego malarza i dekoratora, na rzeźbiarza i grafika. Odbudowywać, restaurować, ratować przed zniszczeniem zupełnym to, co jeszcze ocalało, tworzyć nowe dzieła sztuki, ilustrować i ozdabiać książki ,szerzyć kulturę artystyczną w każdej dziedzinie życia — oo wspaniały program, który się otwiera przed uczniami Wydziału Sztuk Pięknych.

Dr J. P.-Pawlowska.

Przed „Dniami Torunia"

Toruń i Bydgoszcz — dwa najznaczniejsze ośrodki kulturalne w tej części Pomorza — zbyt blisko siebie leżą, ażeby nie miał się wytworzyć między obu miastami pewien rodzaj szlachetnej rywalizacji. Nie można się temu dziwić, że oba ambitne miasta, — każde przecież tak na swój sposób różne, choć i jedno i drugie dąży do możliwie najpełniejszego kulturalnego rozwoju, — starają się o wyprzedzenie „przeciwnika" w toczącej się na pewnej już przestrzeni czasu walce o prymat kulturalny. Może tego rodzaju ujęcie sprawy grzeszy nieco jednostronnością — niemniej zdaje się, że w ten sposób najłatwiej dojść genezy „Dni Torunia", pomyślanych jako uczczenie 480 rocznicy pokoju torunskiego.

A toruńscy organizatorzy zapowiadają rzeczy piękne. Jeśli w istocie uda im się pokonać trudności, których w takich razach zwykle nie braknie, to warto będzie ostatni tydzień września (22—28) poświęcić na odwiedziny naszego „Oxfordu" in spe...

Prawdę rzekłszy modne to powiedzenie określa dość trafnie klimat dni toruńskich, pomyślanych w charakterze swoim przede wszystkim tradycjonalnie. Można sobie wyobrazić — znając Toruń, że takie podejście jest najwłaściwsze i pozwoli imprezie — jako całość — wywrzeć szczególnie emocjonalny rodzaj wpływu na tych wszystkich swoich i obcych — bo nie wątpimy, że zjazd będzie duży — którzy koniec września spędzą w Toruniu.

Ale zdradźmy choć parę z licznych zamierzeń toruńczyków. Obok popisów słynnych chórów toruńskich, wieczornych koncertów orkiestr, pochodów cechów i żaków miejskich, przygotowuje się żywe obrazy historyczne, przedstawiające przeszłość grodu, w autentycznej scenarii, widowiska baletowe na wolnym powietrzu, wielkie igrzyska sportowe, a nawet kiermasz na rynku podratuszowym, ze sprzedażą najprawdziwszych pierników toruńskich. Wątpić należy, czy w ciągu tygodnia zdoła się doznać wszystkich wrażeń artystycznych, o jakich pomyślano: premiera teatralna w „Teatrze Ziemi Pomorskiej", cykl odczytów o Toruniu i Pomorzu w opracowaniu profesorów Uniw. Mik. Kopernika, koncerty zespołu symfonicznego i kameralnego — i wystawy: zbiorowe plastyków toruńskich, portretów królów polskich, rzeźby średniowiecznej, rzemiosła średniowiecznego, fotografii artystycznej p. t. „Piękno Torunia", wystawa książki.

Toruńczycy są prawdziwie zapobiegliwi i gościnni: dla godniejszego przyjęcia gości nie zapomnieli nawet o wyszkoleniu kadry przewodników po zabytkach miasta, raczej po tym mieście zabytków jedynym zresztą — obok Krakowa — ocalałym z pogromu. „Mieście urzekającym" — jak je nazwała pół roku temu, wracając do Krakowa — Krystyna Grzybowska. **(mit)**

W teatrach Pomorza

BYDGOSZCZ

Znane są utyskiwania i pretensje dyrekcji teatrów do surowych i napastliwych recenzentów, wiecznie jakoby niezadowolonych i kapryśnych, nie mających zrozumienia dla ciężkich poczynań odradzającego się teatru. Zarzuca się krytyce teatralnej, że, nie biorąc pod uwagę ogólnej sytuacji, domaga się natychmiastowej przemiany teatru na szkołę nowej moralności obywatelskiej i ideologii demokratyczno-ludowej. Słyszy się ciągle o walczącym teatrze, borykającym się z trudnościami natury materialnej i technicznej i w imię tych niedomagań u boku Rady Teatralnej hołduje się nadal kultowi miernoty i tandety, bo przecież powojenna publiczność i tak zapełni po brzegi salę teatralną. Nie będzie wcale przesadą, jeżeli powiemy, że pierwszy sezon teatralny w Polsce Odrodzonej zarówno na gruncie bydgoskim, jak też w trzech najpoważniejszych ośrodkach, krakowskim, łódzkim i warszawskim, upłynął pod znakiem zawiedzionych nadziei i daremnego kołowania na rozdrożach niewyraźnej linii repertuarowej. Ten początkowy chaos ideologiczno-repertuarowy jest zjawiskiem zrozumiałym i uzasadnionym, lecz natruralnie zjawiskiem przejściowym. Błąd doraźny, który powstał w warunkach wyjątkowej sytuacji, usprawiedliwiającej pewne wahania i dezorientację, nie jest w istocie błędem, lecz nieporozumieniem lub co najwyżej pomyłką. Gorzej jednak, jeżeli staje się zbyt przewlekłym, lub popada w stan chroniczny. Od szeregu miesięcy Teatr Polski w Bydgoszczy kroczy drogą dyletanckiego oportunizmu. Oto jego ślady: płytka komedia francuska **„Ładna historia"**, **„Ziemia nieludzka"** de Curela — to jedyny, lecz bezskuteczny wysiłek „dobrej woli", anachroniczna komedia Niewiarowicza **„Gdzie diabeł nie może..."** i wreszcie komedia muzyczna **„Roxy"**.

Po wystawieniu „Roxy" ujrzeliśmy, co prawda w doskonałej reżyserii Tadeusza Muskata, **„Moja siostra i ja"**, znowu wiec błaha komedię muzyczną. (muzyka S. Dzięgielewskiego), w której paradoks psychologiczny idzie w parze z niekonsekwencją społeczna, w której krytyka arystokratycznej maniery splata się z kultem feudalnej potęgi. Wprawdzie reżyser przez cały szereg trafnych pomysłów inscenizacyjnych, przez zachowanie niezbednych granic subtelności artystycznej stworzył harmonijna i miła pod wzgledem artystycznym całość (wyróżni'i się w roli tytułowej Wiszniowska, poza tym Rosłan i Kassowski), usprawiedliwiajac poniekad wystawienie tej komedii na scenie współczesnego teatru, ale sam fakt szczególnego upodobania przez dyrekcję teatru tego rodzaju utworów staje się zjawiskiem niepokojącym.

Również sztuką z repertuaru zbyt przewlekłych „pomyłek" jest **„Szesnastolatka"**, dramat w 3-ch aktach familijnej spółki autorskiej Filipa i Aimee Stuartów (w przekł. Teodory Drzewieckiej), który wystawił Teatr Polski w Bydgoszczy na początku nowego sezonu. „Szesnastolatkę" trudno nazwać sztuką współczesną, jakkolwiek akcja jej rozgrywa się po roku 1930. Utwór o charakterze psychologiczno-etycznym najwyraźniej nie nadąża za współczesną rzeczywistością, odbiega od niej daleko i przypomina „Sprawę Moniki" nie tylko swą anachroniczną tendencją, ale także efektem emocjonalnym, zbudowanym w próżni. Dramat szesnastoletniej Ireny, przez pamięć na dawno zmarłego ojca nie godzącej się na powtórne małżeństwo matki, przypomina dawno przebrzmiałe konflikty pensjonarek i wkracza w dziedzinę etyki, która nazwać by można sentymentalna. Dramat ten dziś nas nie wzrusza, lecz budzi tylko zdziwienie i zażenowanie. Tym bardziej, że jego konstrukcja psychologiczna nie tworzy zwartej i jednolitej całości, widoczne sa w niej rysy i skazy, które nadają dramatowi Ireny charakter kaprysu lub psychicznego urazu. Utwór kończy sie familijna zgoda, spowodowana niespodzianie przez krótka i ogólnikowa interwencie doktora, która jednakże z miejsca rozwiewa wszelkie skrupuły zrozpaczonej Ireny, pragnącej przed chwilą samobójstwem zakończyć swa tragedię.

Niekonsekwentna psychologia i czułostkowa etyka tworzą tu dramat pozorów, którego silne napiecie emocjonalne nie pozostaje w żadnym zwiazku z realną rzeczywistością.

Pod względem społecznym sztuka Stuartów jest również echem spóźnionych tęsknot i wyblakłych ideałów, zrodzonych w drobnomieszczańskim środowisku pod opiekuńczym skrzydłem „bogatej sfery", łączacej miłość do kobiety z potrzebą filantropijnej akcii. Bogaty i przystojny mecenas Cornett, zalecający się do podstarzałej wdówki jest charakterystycznym bohaterem swojej epoki, który, niby rycerz średniowieczny potęgą jednak nie miecza lecz pieniądza potrafi wyzwolić kobietę z „jarzma" pracy i wprowadzić ją do szczęśliwej krainy upragnionego dostatku i komfortu oraz leniwej zabawy i ponętnej bezczynności. Nieoczekiwane wystawienie „Szesnastolatki" — to więc kontynuacja repertuaru zawiedzionycn nadziei, to kroczenie po zarosłych chwastem drogach tradycyjnego teatru i „tkliwy" głos przeszłości, rozbrzmiawający nadal na deskach naszej sceny.

Reżyseria Zofii Modrzewskiej, pomijając drobne mankamenty (scena zemdlenia Ireny i sceny z doktorem) na ogół poprawna i staranna pod względem formalnym: jednakże jak wynika z analizy utworu, zdawała się wcale nie czuć skrępowania stroną ideologiczną utworu, której anachroniczny ton można było nieco stłumić przez usunięcie lub wycieniowanie pewnych elementów widowiska.

Z zespołu artystów na szczególne wyróżnienie zasługuje Barczewska, ktora w roli Bety tworzy żywy typ piętnastoletniego podlotka, pełnego energii i swawoli, doskonale zacierającej faktyczną różnicę wieku aktorki. Morozowiczowa (babunia Mac Neil) oraz Bystrzyńska (Mary) — były bez zarzutu. Natomiast Rucińska jako poważna i melancholijna szesnastolatka nie zawsze umiała tchnąć w swą kreację odpowiednią dozę dziewczęcego wdzieku oraz zachować równą i jednolitą linię artystyczną. Zupełnie dobrze wywiązała się ze swej roli Stróżyńska (Jenny Lawrence). O Wieliczu, grającym z powodzeniem mecenasa Cornett'a, jednakże trudno powiedzieć, ażeby zupełnie był w swojej roli, która w tym wypadku wymagałaby większego wysiłku charakteryzatora. W grze Kuźmińskiego (dr Hoane) pomimo wyraźnych postępów, nadal przeważa szablon psychologiczny.

A. Dzienisiuk.

OLSZTYN

W czerwcu teatr olsztyński wystawił **„Damę Kameliową"** A. Dumas'a w przekładzie Boy'a. Obsada na ogół dobra — na szczególne uznanie zasłużyła p. Skarżanka w roli tytułowej. Najniefortunniej obsadzona była rola Armanda, kreowana przez p. Surzyńskiego, którego genre do tego rodzaju ról niestoty zupełnie się nie nadaje. Dama Kameliowa to pożegnanie Olsztyna przez stary i dobry zespół, zmuszony na skutek trudności materialnych do szukania chleba gdzie indziej.

Dyrekcja teatru próbowała ratować sytuację, sprowadzając z Warszawy p. Chmielewskiego, który wystawił bardzo starannie „Pannę Maliczewską" Zapolskiej. Gra Chmielewskiego w roli Dauba była naprawdę na europejskim poziomie — a prawdziwą niespodziankę zgotowała publiczności olsztyńskiej w roli tytułowej p. Zielińska, nie wyzyskana należycie dotychczas przez reżyserów olsztyńskich. Na zakończenie sezonu p. Chmielewski wyreżyserował równie starannie Rittnera „W małym domku". W sztuce tej wystąpił on w roli doktora. Rolę Marii zagrała wybornie p. Kossowska. Szkoda, że dyrekcja teatru nie zdecydowała się postarać o reżysera na poziomie p. Chmielewskiego wcześniej.

Horoskopy na nowy sezon teatralny w Olsztynie przedstawiała się, jak dotychczas, nie wesoło. Teatr przejęty przez miasto, walczy nadal z trudnościami finansowymi. Z dotychczasowego zespołu odeszli: pp. Kurnatowicz, Młodniccy, Skarżanka, Surzyński, Karasiński, Milski, Stanisławska-Lothe i Kościałkowska. Prawdopodobnie i doskonały dekorator p. Wiesław Makojnik opuści Olsztyn.

Dyrektorem administracyjnym zamierza pozostać nadal dyr. Wolicki, kierownictwo zaś artystyczne ma objąc podobno p. Karol Adwentowicz z Krakowa, który też ma skompletować zespół. W każdym razie, do połowy sierpnia losy teatru olsztyńskiego jeszcze się nie rozstrzygnęły.

K. R.

SZCZECIN

Kulturalna opinia Szczecina ciagle jeszcze omawia, komentuje i niepokoi sie przyszłością, z takim trudem powstałego, stałego teatru. Sytuacja na froncie teatralnym wyglada obecnie tak, że zespół dyr. Skąpskiego ma licencje jedynie do września br., po tym zaś terminie scene Teatru Polskiego ma objąć trupa teatralna Zwiazku Patriotów Polskich ze Lwowa pod dyrekcją Czosnowskiego. Czy to jest już całkiem pewne nie wiadomo, gdyż równocześnie lansuje sie pogłoskę, jakoby dyr. Skapski miał prowadzić dwa teatry, a to w Szczecinie i Wrocławiu. Dlaczego do tej pory — choćby dla dobra aktorów — oba zespoły nie połączyły się w jeden, mogłyby wyjaśnić chyba jedynie „szare eminencje", stojące za kulisami spraw teatralnych. Tymczasem spoglądają na siebie wrogo dwa obozy: jeden na Swarożyca, a drugi — nie bez racji rozżalony i rozczarowany przyjęciem jakiego doznał — gnieżdżący się w fatalnych warunkach życiowych w punkcie etapowym PURu na Jagiellońskiej.

Zespół dyr. Czosnowskiego nie miał dotąd sposobności zaprezentować się publiczności szczecińskiej. To zaś co nam dotąd pokazał zespół dyr. Skąpskiego znamionują jedynie dobre chęci lub niewiele ponad nie. Z trzech premier jedynie „Moralność Pani Dulskiej" była spektaklem na poziomie średnio dobrego teatru amatorskiego. A już ostatnia premiera „Manewrów Miłosnych" Turskiego w zupełności przekreśliła szczytne zamiary kształcenia i teatralnego wychowania miejscowej publiczności, jak to szumnie zapowiadała dyrekcja. Ocena dotychczasowych osiągnięć Teatru Polskiego wypada tym ujemniej, gdy się ogląda „Roxy" Connersa, wystawioną (w reżyserii T. Trzcińskiego) przez bawiących na gościnnych występach, Bracką, Zaklicką, Łodzińskiego i Possarta. „Roxy" — to dopiero prawdziwy teatr, a reakcja publiczności dowodzi jak bardzo Szczecin spragniony jest naprawdę dobrego teatru.

Sezon letni roi się w Szczecinie od imprez artystycznych różnej wartości, od akademii po rewie, urządzane dorywczo przez bawiących tu przejazdem artystów. Do takich należą występy Platównej, Rolewicza, artystów opery warszawskiej, Magielskiego z opery krakowskiej, Massalskiej, pianistki Konatkowskiej, znanej śpiewaczki łódzkiej Gorzechowskiej, „czwórki asów" z byłego chóru Dana, a ostatnio „Kukulki" warszawskiej z Bocheńskim, Sojeckim, Chmurkowską i „ostatnim trubadurem Warszawy", Elektorowiczem. Z tych wszystkich występów zespół ostatni mimo, że jego impresario zawiódł na całej linii, szturmem zdobył publiczność, dając trzy występy, z których jeden był transmitowany przez miejscową rozgłośnię i stał się prawdziwą sensacją życia kulturalnego Szczecina.

Melomani prawie już stutysięcznego miasta skarża się na brak stałej orkiestry filharmonicznej. Miejscowy Klub Artystyczno-Literacki, którego „czwartki" były tak życzliwie przyjmowane, jak na razie nie zdradza chęci kontynuowania swej działalności (przypuszczam, że pozostaje to w zwiazku z letnimi upałami i bliskością letnisk nadmorskich) — a szkoda, bo stały kabaret artystyczno-satyryczny miałby na naszym terenie zapewnione powodzenie.

Życie kulturalne Szczecina jest jeszcze ciągle w stanie wrzenia, a jakie z tej kuchni, nęcącej różnymi obiecującymi zapachami, otrzymamy potrawy duchowe — przyszłość pokaże.

Walerian Lachnitt.

SOPOT

Sopot w okresie letnim stanowi prawdziwie żywy i barwny świat, skupiający ludzi z całej Polski i nie tylko z Polski. Każdego, kto zawitał do naszej nadbałtyckiej Kalifornii, uderzyć musi niezwykły i wprost fascynujacy widok tłumu eleganckich pań i panów, wśród którego dostrzec można przedstawicieli najróżnorodniejszych gałęzi życia. Obok wybitnych intelektualistów i ludzi sztuki, reprezentujących nasza elitę naukową, literacką i artystyczną, — znaczna większość — to sfery kupiecko-mieszczańskie, przejawiające szczególną żywotność w tutejszych tak licznych lokalach gastronomicznych, odznaczających się niekiedy komfortem, gustowną elegancją i wytwornym menu.

Jakże niepozornie i ubożuchno, tak pod względem technicznym jak i artystycznym w porównaniu ze stanem tych lokali przedstawia się Teatr Dramatyczny, konwencjonowany przez ZASP i mieszczący się przy głównej arterii Sopotu. (Aleja Rokossowskiego). Długą salę, przypominającą raczej korytarz i pozbawiona wszelkich urządzeń wentylacyjnych, wypełniają prymitywne krzesła, odrapane i zniszczone, stanowiące rażący kontrast do miękkich siedzeń „Grand Hotelu" lub „Swing'u". Prowizoryczna scenka nie rozporządza nawet estetyczną kurtyną, nie mówiąc już o innych rekwizytach teatralnych.

Jeżeli natomiast chodzi o poziom artystyczny widowisk, to należy stwierdzić, że miejscowy zespół teatru nie wykracza poza granice prowincjonalnej amatorszczyzny. Wprawdzie w czasie swego pobytu oprócz dobrych występów zespołu łódzkiego (J. Kreczmar i J. Romanówna w „Freuda teorii snów" Cwojdzińskiego) oraz bardzo przeciętnych — zespołu gdyńskiego („Gdzie diabeł nie może..." R. Niewiarowicza) widziałem tylko jedną „sztukę" w wykonaniu sopockiego zespołu, ale to wystarczy, by ocenić ogólnie możliwości i poziom teatru.

Nie tylko realizacja sceniczna ale i sam wybór sztuki (**„Macierzyństwo panny Jadzi"** J. W. Śliwina), już ze względów literackich budzacej pewne zastrzeżenia, wywołać musi u tolerancyjnego nawet krytyka zażenowanie i przygnębiające zdumienie. Pretensionalnie inteligencki dialog przeplatają częstokroć rubaszne i niewybredne powiedzonka, zaczerpnięte z dziedziny erotyki lub podmiejskiego żargonu. Niezdarna kompozycja „utworu", poruszającego poważny problem wolnego macierzyństwa, świadczy o nieporadności scenicznej autorki, która zapomniała, że prawdziwa sztuka musi być drogowskazem a nie kresem, że jest rozwiazywaniem zagadnienia, a nie ciągłym demonstrowaniem wynikajacej dopiero z przebiegu akcii głównej i podstawowej myśli. Irytowała niekiedy ta skrupulatna, pedantyczną i zbyteczna dbałość autorki, która wprost „kładła łopatą do głowy" swe postępowe poglądy, uprzedzając przy tym narastanie i rozwiązanie wątku dramatycznego i rozładowując teoretycznie drepcząca za słowami akcję. Ten prymitywizm myślowy i natrętny ton propagandowej retoryki sprawiają, że widz oddaje się leniwej drzemce, podczas gdy akcja wśród wrzawy i hałasów, groteskowych dygów i podskoków toczy się dalej. W swym zacietrzewieniu ideologicznym na drodze do propagowania wolnego macierzyństwa autorka nie cofa się nawet przed usiłowaniem wyeliminowania małżeństwa, którego wrogiem w imię idei staje się główna postać utworu „panna Jadzia", ofiara wstecznej i dewociarskiej opinii. I trzeba dopiero całego

szeregu naiwnych perswazji i przeprosin, bagatelizujących wszelką prawdę psychologiczną, by skłonić wreszcie świadomą matkę do zawarcia związku małżeńskiego.

Opracowanie sceniczne świadczy o tym, że reżyser starał się w sposób niezwykle „atrakcyjny" zaabsorbować oko i ucho widza, i by nic z trywialnego realizmu „sztuki" nie zostało uronione, pofolgował swawolnej szarży i farsowemu efekciarstwu. Zamiar reżysera realizował najbardziej energicznie Śmigielski, który w roli chłopca sklepowego Janka, nadał swej szarży rozmiary, przypominające komedie Plauta, w których nieraz uciekano się do kija. Wprawdzie właścicielka sklepu Jaskólska robiła to gołą ręką, ale z niemniejszym powodzeniem dla całego charakteru widowiska. Poza tym gra zespołu, z wyjątkiem aktorki odtwarzającej rolę Wojciechowej, pozbawiona była naturalnej szczerości, trąciła sztywną pozą i demonstrowała nieprzekonywującą mimikę i przypadkowy gest. Oprawa dekoracyjna wzruszała swą ubogą plastyką, liczącą częstokroć jedynie na krótkowzroczność widza.

Opuszczałem teatr sopocki smutny i przygnębiony. Biedna i nieszczęsna Melpomeno — kiedyż litościwy los pozwoli Tobie opuścić mury teatralnego prowizorium w Sopocie, w których straszy potwór rozwydrzonej szmiry, w których hula nie tyle „podkasana", ile „rozpasana" muza ku wielkiej uciesze pewnego typu widza, bijącego głośne brawo w swe pulchne, niespracowane dłonie?!

Poruszając kwestię teatru w Sopocie jeszcze raz podkreślamy, że czynimy to dlatego, ponieważ uważamy, że nasza reprezentacyjna nadmorska miejscowość, gromadząca tak licznych i niekiedy **obcych** gości, powinna posiadać scenę wypełniającą istotnie zadanie upowszechnienia prawdziwej sztuki oraz powinna się stać sprawdzianem kształtowania się nowego jej oblicza, odpowiadającego wyższym formom społecznego życia.

A. Dzienisiuk.

Jerzy Kobzakowski

O TEATR DLA BYDGOSZCZY

Od teatru antycznego, w którym natura stanowiła tło zasadnicze dla żywego słowa, poprzez budy teatralne Szekspira i Moliera — do sceny dzisiejszej, — droga daleka. Teatr na przestrzeni wieków przeszedł długi szereg ewolucji nim skrystalizował się w obecnej formie, stając się jedną z największych atrakcyj, jednym z głównych ośrodków kulturalnego życia. Trudno sobie dziś wyobrazić większe miasto bez teatru. Teatr stał się nie tylko rozrywką, wręcz artykułem pierwszej kuluralnej potrzeby, bez którego życie miejskie nie osiągnęłoby swej pełni.

Jest rzeczą wysoce rażącą, gdy miasto takie jak Bydgoszcz, niewiele na ogół zniszczone, trafione zato barbarzyńskim ciosem w samo serce — zniszczono mu bowiem teatr — lekko nad tym do porządku dziennego przechodzi. Pomieszczenie, w którym obecnie odbywają się widowiska, nie może pod żadnym względem na miano teatru zasługiwać. Względy tak kulturalnej jak i politycznej natury wymagają, by siedziba władz województwa pomorskiego, ważny ośrodek życia umysłowego i kulturalnego, otrząsnęła się z letargu i zaczęła planowe i energiczne działanie.

Teatr w Bydgoszczy, prawdziwy, nowoczesny teatr dramatyczny, odpowiadający pod każdym względem swoim zadaniom, musi stanąć na właściwym miejscu i we właściwym czasie. Znajdą się ludzie tu, na miejscu, którzy potrafią sprawę tę ruszyć z miejsca i doprowadzić do końca, — trzeba ich tylko zespolić i... nie przeszkadzać im w pracy.

Sprawa sfinansowania budowy teatru jest rzeczą trudną, lecz nie należy zapominać, że realizacja tego zamierzenia odbywa się etapami i to ściśle w następującej kolejności: wybór właściwej sytuacji dla teatru; ustalenie wytycznych dla projektu; projekt wstępny i kosztorys, projekt szczegółowy i obliczenia statyczne; budowa; odbiór robót i sprawdzenie rachunków; oddanie teatru do eksploatacji.

Widać z powyższego, że droga do realizacji jest długa i mozolna. Czas najwyższy by na nią wstąpić i zacząć pokonywanie etapami trudności.

Pierwszą i to nie najmniejszą trudnością jest wybór właściwego miejsca dla teatru. Należy pogodzić się z tym, że poprzednia sytuacja teatru mimo pewnych swych walorów ze względu na szczupłość miejsca i konieczność założenia szerokich bulwarów, jest niewłaściwa. Należy zatem szukać nowej (patrz załączone szkice!). Teoretycznie sprawa wygląda prosto. Możliwie w środku miasta, w ognisku jego życia, przy głównym placu lub w jego pobliżu, a w każdym razie w dzielnicy gęściej zaludnionej, lecz przede wszystkim — w pejzażu charakterystycznym dla danego środowiska. Zawsze jednak w pobliżu głównych ciągów komunikacyjnych miasta, by dojazd do teatru i ewakuacja widzów odbywały się możliwie najpłynniej, nie kolidując z ruchem miejskim. Teatr musi posiadać dogodny dojazd dla widzów, plac postojowy dla pojazdów oraz odpowiedni dojazd do części scenicznej. Teatr winien być tak usytuowany, by główna elewacja stanowiła dominantę przyległego placu itd. itd. — wymieniam tu tylko warunki najważniejsze, nie poruszam obecnie dalszych, których jest mnóstwo i którym odpowiadać musi każdy naprawdę nowoczesny teatr, a tylko o takim w dniu dzisiejszym może być mowa.

Teatr, jako budynek, składa się z całego szeregu pomieszczeń, które dadzą się ująć w 3 zasadnicze grupy: pomieszczenia dla widzów, sceniczne oraz gospodarczo-administracyjne. Muszą one czynić zadość rozlicznym wymaganiom, — ograniczę się tu do zasadniczych — pod względem: materiału i konstrukcji, ewakuacji publiczności, akustyki, technologii, wyposażenia i konstrukcji sceny, instalacji elektrycznej, ogrzewania, wentylacji, techniki sanitarnej i zaopatrzenia w gorącą wodę, bezpieczeństwa pożarowego.

Ten pobieżny przegląd kwestii, jakie należy rozstrzygnąć, przystępując do projektowania teatru, dostatecznie uzmysławia ogrom zadania i jego wyjątkową trudność. Przezwyciężenie jej wymaga dużej wiedzy, talentu i doświadczenia. Posiadanie owych kwalifikacji jest warunkiem niezbędnym dla przystąpienia do projektowania teatru. W oparciu o doświadczenia innych należy stworzyć rzecz nową, odpowiadającą naszym warunkom, a będącą godną współczesnej doby. Postanowienie wzniesienia w Bydgoszczy odpowiedniego dla niej teatru wydaje się najwłaściwszym ukoronowaniem obchodu 600-lecia.

WŁOCŁAWEK

Przegląd ruchu kulturalnego

Ubiegły sezon wiosenny i letni zaznaczył się w stolicy Kujaw dalszym ożywieniem ruchu umysłowego i kulturalnego. Włocławek w dość szybkim tempie podąża za sąsiednimi ośrodkami, pomnażając w dziele kultury swe dotychczasowe osiągnięcia.

Nie unormowały się jak dotąd we Włocławku warunki umożliwiające istnienie teatru stałego. Budżet miasta, wyczerpanego przez okupanta, nie daje jeszcze możliwości ku temu. Miasto poradziło sobie sposobem zastępczym: utworzone przy sali teatru miejskiego **ognisko teatralne** zajmuje się z powodzeniem (od 1 maja br.) sprowadzaniem do Włocławka zespołów wędrownych lub przyjezdnych. Dzięki planowości powyższej akcji dostarczono mieszkańcom miasta szeregu okazji do zetknięcia się z prawdziwą sztuką teatralną. I tak Włocławek widział „Swiętoszka" Moliera, „Moralność Pani Dulskiej", Zapolskiej, Fredry „Męża i żonę", Iwaszkiewicza „Starą Cegielnię" — w wykonaniu zespołów teatrów „Polskiego" z Bydgoszczy i „Ziemi Pomorskiej" z Torunia, ponadto Cwojdzińskiego „Freuda teorię snów", M-Szczepkowskiej „Sprawę Moniki", „Skiza" Zapolskiej (z Ćwiklińską), przedstawienie baletowe zespołu Parnella i szereg mniej ważnych imprez. W ciągu pierwszych trzech miesięcy administrowania salą odbyło się ponad 80 wieczorów. Mieszkańcy Włocławka nie mają powodu do narzekania na brak kulturalnej rozrywki.

Miłym i wartościowym wyczynem miejscowym była impreza szkolnego zespołu dramatycznego Gimnazjum Ziemi Kujawskiej, który pod kierownictwem prof. Gniazdowskiego z całym pietyzmem dla sztuki wystawił „Zemstę". Grano arcydzieło fredrowskie razy 15, co jest niewątpliwie sukcesem dla imprezy tego rodzaju.

Zorganizowany niedawno **Klub Literacko-Artystyczny** ruszył z miejsca wielce pomyślną organizacją serii odczytów, sprowadzając wraz z zarządem Oddziału Pol. Tow. Krajoznawczego szereg prelegentów z pobliskiego Torunia. Osiągnięto wysoką frekwencję; pozwala to spodziewać się dalszego powodzenia w najbliższym sezonie jesiennym. I tak: odczyt prof. Konrada Górskiego „Żeromski a romantyzm polski" zciągnął liczbę 800 słuchaczy, tegoż o „Istocie poezji" — 500, prelekcje prof. prof. Srebrnego, Passendorfera, Prüfferowej i Hoszowskiego — od 200 do 500. Tenże Klub w czerwcu i lipcu zorganizował dwa koncerty: instrumentalno-wokalny oraz recital fortepianowy Olgi Iliwickiej z Torunia. Odbyła się również literacka „Czarna Kawa" połączona z produkcjami artystycznymi, jako zapowiedź dalszych imprez tego rodzaju.

Oddział Kujawski **Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego** nie może rozwinąć należycie swej działalności z powodu braku własnego lokalu. Dawny własny gmach tej instytucji wciąż jeszcze zajęty jest przez Radę Związków Zawodowych. Muzeum Kujawskie mieści się zaledwie w dwóch małych pokojach i nie może rozplanować wciąż nadpływających eksponatów. Otrzymana ostatnio partia okazów z prehistorii (od prof. Kostrzewskiego z Poznania) od dłuższego czasu stoi w nierozpakowanych skrzyniach. Jest to poważna krzywda dla szeroko zakrojonej działalności Towarzystwa i jego muzeum. Jest nadzieja, że stan ten wkrótce ulegnie zmianie.

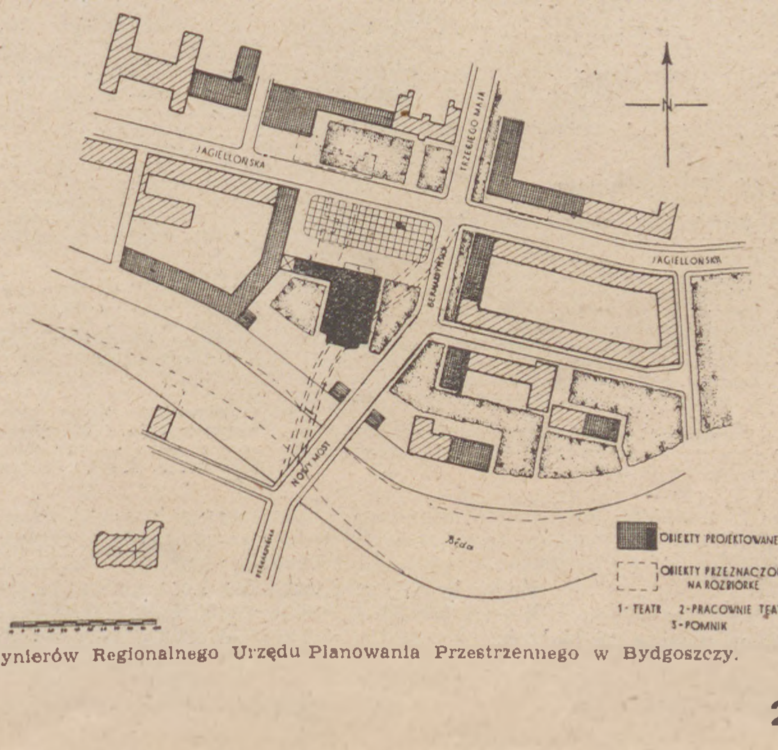

Szkice sytuacyjne dla przyszłego teatru zaprojektowane przez inżynierów Regionalnego Urzędu Planowania Przestrzennego w Bydgoszczy.

Zarząd Towarzystwa Krajoznawczego zorganizował ponadto pierwszy po wojnie kurs dla przewodników po Włocławku, a ostatnio opracowuje książkowe wydanie przewodnika po tym mieście.

Zorganizowana po wyjściu okupanta Biblioteka Miejska, dzięki niestrudzonej kierowniczce I. Chadzyńskiej dochodzi do coraz większego znaczenia jako użyteczna placówka kulturalna. W użyciu znajduje się około 6000 tomów; znaczna ilość spowodu braku środków finansowych na oprawę książek — nieuruchomiona. Ilość abonentów pierwotnie wynosząca niecałe 100 osób sięga już tysiąca. Frekwencja dzienna: ponad 300 osób. Przy bibliotece czynną jest również czytelnia dzieł naukowych i czasopism. W okresie „Święta Książki" urządzono tu piękną wystawę. Kierownictwo biblioteki w swych staraniach o subwencje i pomoc dla biblioteki trafia nawet do rodaków w Ameryce. Organizuje się w chwili obecnej wypożyczalnię dla dzieci i młodzieży, a w miarę możności finansowych uzupełnia się systematycznie stan księgozbioru. Zorganizowane na terenie miasta „Towarzystwo Przyjaciół Biblioteki" przyczyni się niewątpliwie do jeszcze większego rozwoju tej pożytecznej instytucji. **Samb.**

Książki i pisma nadesłane

JAN DOBRACZYŃSKI: W rozwalonym domu. Powieść. 1946. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik".

SEWER (IGNACY MACIEJOWSKI): Matka. Łódź-Wrocław 1946. Wydawn. Władysława Bąka.

KAZIMIERZ HARTLEB: Mikołaj Kopernik. Toruń 1946. Nakładem Księg. Naukowej T. Szczęsny i Ska.

LESZEK KLIMA: Łużyce wołają! Toruń 1946. Skład główny Księg. Nauczyc. ZNP.

W. DĄBROWSKA, J. CZARNECKA, J. SŁOMCZEWSKA: 555 książek wydanych w okresie powojennym. Warszawa 1946. Ludowy Instytut Oświaty i Kultury, Wydz. Książki i Czytelnictwa.

MARIA OSSOWSKA: Wzór obywatela w ustroju demokratycznym. Bibl. Oświaty Robotn., Warszawa 1946. Tow. Uniw. Robotn.

TWÓRCZOŚĆ — Miesięcznik literacko-krytyczny, II 6-7.

ODRODZENIE — Tygodnik III 30—36.

ŻYCIE LITERACKIE — Dwutygodnik, II 13—15.

TEATR — Miesięcznik, I 3.

WIEŚ — Tygodnik społeczno-literacki, III 27—31.

WIATR OD MORZA — Czasopismo poświęcone polskiej kulturze marynistycznej, I 6-7.

ZIEMIA — Ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, XXX 5.

CYCHRY — Miesięcznik poświęcony zagadnieniom upowszechnienia kultury, I 6.

SZCZECIN — Tygodnik miasta morskiego, I 1—12.

JANTAR — Przegląd naukowy zagadnień pomorskich i bałtyckich. Organ Instytutu Bałtyckiego. (IV) I. 1.

ŻYCIE SŁOWIAŃSKIE — Miesięcznik poświęcony sprawom słowiańskim, I 4/5.

STRAŻNICA ZACHODNIA — Miesięcznik Polskiego Związku Zachodniego, XV 7/8.

LEWY TOR — Warszawski miesięcznik społeczno-literacki, IV 5/6.

ZRYW — Dwutygodnik, IV 1—3.

PRZYJAŹŃ — Organ Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, I 6.

PROBLEMY — Miesięcznik poświęcony zagadnieniom wiedzy i życia, II 1—5.

FILM — Dwutygodnik, I 1—3.

ŚWIAT FOTOGRAFII — Pismo poświęcone sprawom fotografii użytkowej i artystycznej, I 1.

PORADNIK OŚWIATOWY — Organ Zarządu Głównego Związku Walki Młodych, IV 14.

WALKA MŁODYCH — Tygodnik, IV 28—34.

CHŁOPSKA DROGA — Tygodnik Polskiej Partii Robotniczej, II 29—35.

MŁODA RZECZPOSPOLITA — Tygodnik I 8—13

Od Wydawnictwa

Czytelników naszych zawiadamiamy, że począwszy od niniejszego numeru cena 24-stronicowego zeszytu „Arkony" wynosi 15.— zł. Śladem innych pism zmuszeni zostaliśmy do podwyższenia ceny naszego czasopisma na skutek zwiększenia się w ostatnim czasie kosztów kolportażu i druku.

Mamy nadzieję, że Czytelnicy nasi będą mimo to darzyli nadal pismo swą przychylnością, zwłaszcza że starać się będziemy o wprowadzenie dalszych ulepszeń redakcyjnych i technicznych.

Prenumeratorzy, którzy uiścili należność do końca roku bieżącego, otrzymają miesięcznik bez żadnej dopłaty.

PRZEGLĄD PRASY

Dwa ważne wydarzenia zanotować trzeba na wstępie: wznowienie „Jantara" i ukazanie się pierwszych numerów „Szczecina" — tygodnika miasta morskiego. Wydarzenia niewspółmierne gatunkowo — niemniej i jedno i drugie niezmiernej wagi, nie tylko z perspektywy pomorskiej. Oba pisma, swym pojawieniem się wypełniły dotąd istniejące dotkliwe luki na swych odcinkach pracy kulturalnej — i stąd to zestawienie, może ryzykowne, jednak nie przypadkowe.

Misję i zadania „J a n t a r a" — Przeglądu naukowego zagadnień pomorskich i bałtyckich, dwumiesięcznika, wychodzącego w Bydgoszczy, sformułował we wstępnym exposee Józef Borowik, dyrektor Instytutu Bałtyckiego, którego pismo jest organem. Tak jak i dotąd („Jantar" ma za sobą trzy lata przedwojenne) — stanowić ma „czuły instrument pracy" Instytutu, tym samym więc — odzwierciadlać jego dążenia nad „ugruntowaniem wiedzy o zwartości Wielkiego Pomorza" jak i o „nierozerwalnej łączności ziem północnych z całością polskiego organizmu polityczno-społecznego".

Pierwszy numer wznowienia w pełni dowodzi zbieżności głoszonych założeń i obietnic programowych — z ich pierwszą realizacją. Trzy zasadnicze artykuły zeszytu (B. Srocki: Polska a Bałtyk, St. Srokowski: Problem Odry i Wł. Dziewulski: Upadek gospod. Pomorza przedodrzańskiego od XIX w.) dają w sumie czytelnikowi głębokie przekonanie, oparte już na cyfrach i faktach — o istotnej zawartości i niezaprzeczalnej jedności naszych ziem nadbałtyckich, tworzących jeden, niepodzielny organizm. Nie ma dosyć słów uznania dla „Jantara" za postawienie w ten sposób swej naczelnej problematyki. Wśród obfitych materiałów, dokumentów, recenzyj i kronik zwraca uwagę sumiennością opracowania lista strat kultury polskiej na Pomorzu, opracowana przez A. Bukowskiego, oraz bardzo pożyteczny dla każdego, kogo sprawy Pomorza nieco poważniej obchodzą — dość wyczerpujący wykaz pozycji bibliograficznych tematyki pomorskiej i bałtyckiej.

Inne są cele i założenia „Tygodnika Miasta Morskiego", opatrzonego (może bez większego przemyślenia?) nazwą „S z c z e c i n". Wejrzawszy w pierwszy z brzegu numer znajdziemy na skromnych łamach w ciekawej symbiozie, sąsiadujące ze sobą sprawy gospodarcze, spółdzielcze, handlowe i rzemieślnicze, publicystykę, pogadanki historyczne, reportaże terenowe, sprawy kulturalne. — „Szczecin" przeznaczony jest dla najprzeciętniejszego mieszkańca miasta „morskiego" — i jeśli z tej strony na pismo spojrzymy, musimy stwierdzić, że stosunkowo znaczny procent artykułów zasadniczych, czasami nawet wnoszących pewne novum w dyskusje ogólnopolskie (R. Łyczywek: Przybliżyć sztaby!, W. Lachnitt: Wycieczka w problematykę), jak i częste omówienia zagadnień życia kulturalnego Szczecina — świadczą o właściwym kierunku pisma: popularność bez płycizny treściowej, przyzwyczajenie do rzeczy ważnych — bez mówienia w próżnię.

Ostatni, wakacyjny zeszyt „W i a t r o d M o r z a" przynosi przede wszystkim na czele numeru rzecz zasadniczą pióra E. Kwiatkowskiego (patrz również rozprawa w „Przegl. Zach." 5), rozwijającego tezę konieczności przebudowy naszego nastawienia duchowego — z systemu odczuwania lądowego — na morski. Argumenty „morskiej treści w życiu Polski", ujęte zresztą nadzwyczaj sugestywnie — godne są najszerszego spopularyzowania. Poza tym znajdujemy w numerze m. inn. dużo cennego materiału na marginesie ostatniego wydarzenia Wybrzeża: powstania Związku Gosp. Miast Morskich, — oraz dwa dobre fragmenty prozy: wycinek powieści Dobraczyńskiego i nowelę J. Papugi.

To co pisze prasa poza-pomorska o Morzu i Pomorzu — a było tego ostatnio nawet dosyć sporo — najłatwiej chyba zestawić w schemacie „terytorialnym".

Niewątpliwie dużo mówiło się ostatnio o **Mazurach i Warmii**, czyli, jak chcą niektórzy o Pomorzu Wschodnim — inni: Prusach Wschodnich. Na temat samej nazwy ciekawą polemikę toczą przedstawiciele Instytutów: Bałtyckiego (B. Srocki) i Zachodniego (prof. Z. Wojciechowski) na łamach swych organów, ale to rzecz za obszerna do relacji. Kohutek w „Odrze" („Mazury po prostu") stawia problem ludności autochtonicznej i napływowej, domagając się ostatecznego uregulowania sprawy. O „ziemi zapomnianej" gospodarczo i kulturalnie „kraju wołającym o pomoc" mówią J. Bieniek („Wieś", Z krainy Smętka) i M. Mardal („Kuźnica"), a także w swym reportażu nie tylko krajoznawczym S. A. Wielopolski („Ziemia"). Rymkiewicz i Tuhan przypominają („Warszawa") znaną i popularną swego czasu sprawę akcji, procesu i porwania Kalksteina. Przykładowy reportaż z rodzaju tych, które się czyta jak powieść ogłosiła w „Odrodzeniu" Jarochowska: „O Warnijo, o Warnijo!"

Reportaż jest zresztą najczęstszą formą omawiania tematów pomorskich. **O Gdańsku** w ten sposób pisze w „Odrze" S. Sulima, dając w „Spotkaniu z Gdańskim" prawdziwe sugestywne zestawienie dawnego i dzisiejszego oblicza miasta. Wesoły felieton W. Chylickiej („Odrodzenie", 31) kręci się dookoła zagadnień nowej ludności Gdańska, przechodzącej kolejno swe łupieżcze i osiedleńcze fazy; w tym samym numerze J. Barowa przedstawia znane skądinąd dzieje Książnicy Miejskiej.

Ciekawe „spojrzenie wstecz" na działalność ekipy ekspedycyjnej na **Pomorzu Zachodnim** drukuje St. Helsztyński w „Odrze". Tam również znajdujemy jedno więcej omówienie (tegoż autora) znanej powieści Grabskiego o Jarlu Broniszu, naszym pierwszym „ministrze spraw morskich", oraz historyczne wspominki J. Mitkowskiego na temat księcia Bogusława X („Tego księcia uczył Długosz"), czyli — o straceniu przez nas ostatniej szansy przyłączenia Pomorza Zachodniego do Polski (rok 1523!).

Nie sposób na koniec tego pobieżnego przeglądu nie wspomnieć o pracach nie omawiających wprawdzie zagadnień szczególnie pomorskich, niemniej tyczących spraw dla Pomorza nie obojętnych. Mam na myśli kwestię naszej **zachodniej granicy** i problemy z nią się wiążące. J. Dobraczyński („Dziś i Jutro") jeszcze raz zwraca uwagę na fakt, że „Za linią Odry i Nissy" dzieją się rzeczy niepokojące. „Niemcy nie ze wszystkim przegrały wojnę!".

Najgruntowniej chyba sprawę „bezpieczeństwa zachodniej granicy" referuje („Tyg. Powsz.") Ed. Osmańczyk, przeprowadzając pozytywną odpowiedź na pytanie tyczące **realności** odbudowania Łużyc niepodległych. W tej sprawie najbardziej autorytatywny, niewątpliwie najgorętszy głos — to rzecz łużyczanina, A. Nawki („Dziś i Jutro"), zamknięta pytaniem pod adresem Konferencji Pokojowej: „Czy to prawda, że druga wojna światowa toczyła się o wolność narodów??" **mit.**

NOWE KSIĄŻKI

Knauff Stanisław: WOJNA ZACZĘŁA SIĘ W GDAŃSKU. P.Z.W.S. Warszawa 1946, str. 80.

Książka ta ukazała się jako nr 1 Bibl. Ziem Odzyskanych, zainicjowanej przez dr Stan. Helsztyńskiego. Trafnie pierwszą publikację w tej serii poświęcono właśnie Gdańskowi, który był bezpośrednią i formalną przyczyną rozpętania wojny. Autor zawartych w tej książeczce wspomnień, urzędnik Komisariatu Gen. R. P. w Gdańsku, był bliskim i naocznym świadkiem rozgrywających się wydarzeń przed i po wybuchu. Dobra znajomość stosunków i ludzi sprawia, że książeczka ma wagę dokumentu. Szczególną ciekawość wzbudza ta część wspomnień, która mówi o martyrologii Polonii Gdańskiej w pierwszych dniach września: to są rzeczy nieznane ogółowi polskiemu. Któż wie np., że przygrywką do późniejszych Stutthofów i Oświęcimiów była „Victoria Schule" w Gdańsku? Autor w przedstawionym obrazie nie pomija oczywiście bohaterskiej obrony poczty gdańskiej i obrony Westerplatte. Całe opowiadanie cechuje duża rzeczowość. Pojawiający się niekiedy przypływ liryzmu nie razi, przeciwnie wydaje się tutaj całkowicie uzasadniony. **A. B.**

Praca zbiorowa: ŁUŻYCOM WOLNOŚĆ. Wydawnictwo Zachodnie. Poznań 1946, str. 76.

Zjawiskiem niemal niespotykanym w dziejach jest olbrzymia odporność narodowa Łużyczan, którzy od przeszło tysiąca lat otoczeni morzem niemieckości zachowali swą odrębność słowiańską, rozwijając samodzielną, wysokostojącą kulturę. Hartu takiego nie wykazał chyba żaden inny naród świata, zwłaszcza gdy się zważy, że Łużyce pozostawały od wieków w najcięższej niewoli, jaką zna historia, wydane na łup przemocy germańskiej, perfidnej i okrutnej, nieprzebierającej w środkach służących do osiągnięcia celu: całkowitego wytępienia resztek słowiańszczyzny połabskiej.

Praca zbiorowa pt. „Łużycom Wolność", naświetlająca stosunkowo wszechstronnie dzieje i kulturę Serbów łużyckich oraz dzisiejszy stan sprawy Łużyc na forum międzynarodowym, staje się więc mimowoli hymnem na cześć żywotności plemiennej Słowian. Na przestrzeni wieków, od Chrobrego aż po wspaniałe zwycięstwa armii polskiej pod Budziszynem w r. 1945 coraz silniej zacieśniała się więź łącząca nas z bohaterskim ludem połabskim. Dziś więc jesteśmy specjalnie powołani do podania pomocnej dłoni najtragiczniejszemu narodowi w Europie, domagającemu się naprawienia tysiącletnich krzywd, zadanych mu przez wspólnego wroga słowiańszczyzny. **K.**

W y d a w c a: Zespół „Arkony" w Bydgoszczy — Kolegium redakcyjne: Stanisław Brzęczkowski, Andrzej Bukowski, Aleksander Dzienisiuk, Alfred Kowalkowski, Jan Piechocki, Marian Turwid. Adres Redakcji i Administracji: Bydgoszcz, Sielanka 8
Konta bankowe: Komunalna Kasa Oszczędności miasta Bydgoszczy nr 224, PKO nr VI-271.
P r e n u m e r a t a i k o l p o r t a ż: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Delegatura Pomorska w Bydgoszczy, ulica Jagiellońska 31
Cena numeru 15 złotych. Drukarnia Polska pod Zarządem Państwowym Nr 1, Bydgoszcz. 2129 — E-14086